

MIRANDA JARRETT

Małżeństwo w trzech aktach

Tłumaczyła: Hanna Ordęga-Hessenmuller

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Staffordshire, Anglia, maj 1805

Lord Ross Howland, hrabia Mayne, oprócz swojej wysokiej pozycji społecznej, cieszył się również sławą jednego z najtęższych umysłów swego pokolenia. Najbardziej skomplikowane działania matematyczne rozwiązywał z szybkością piorunującą, jego konkluzje w kwestiach naukowych były głębokie i inspirujące, jednym słowem jego lordowska mość zadziwiał wiedzą i błyskotliwością. Niestety, nawet ten imponujący umysł w pewnej delikatnej kwestii nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, zdawałoby się, nawet proste.

– Dawkins, powiedzcie no mi... – Ross, wydawszy z siebie głębokie, pełne największego smutku westchnienie, pchnął kufel ku barmanowi, który skwapliwie zaczął go ponownie napełniać piwem – ... czego może chcieć kobieta?

Barman wydał lekko wargi, pomyślał i nieco bezradnie pokręcił głową.

– Prawdziwa zagadka, milordzie, nieprawdaż. Oj, niejednen już łamał sobie nad tym głowę. A milord ma na myśli damy w ogólności, czy jakąś jedną?

– Jedną – oznajmił Ross, nie odrywając oczu od piany. Jego dociekliwy umysł błyskawicznie skalkulował prędkość, z jaką mikroskopijny bąbelek syczącej piany strzela sobie cichusieńko i znika lub też osadza się na brzegu kufła. – Chodzi o moją siostrę, lady Emmę.

– Lady Emmę?! – Dawkins wcale nie starał się ukryć swego rozczarowania. – A ja sądziłem, że milord ma na myśli jedną z tych rozkosznych pogańskich dziewcząt, co to ubrane są tylko w kwiaty i spódnice z trzciny. Milord spotkał je przecież podczas swych wojaży na Tahiti i do innych, równie egzotycznych miejsc. Wszystkie gazety ciągle rozpisują się o tych słodkich istotach.

– Słodkich... – mruknął Ross. Istoty płci żeńskiej, o których wspominał barman, faktycznie mieszkały na Tahiti. Bardzo urodziwe i zadziwiająco niefrasobliwe w kwestii nagości, były urodzonymi trzpiotkami i złodziejkami. Ross bardzo szybko wyzwolił się spod ich uroku, jak zresztą przystało na trzeźwo myślącego Anglika. – One mają tylko jedną zaletę, Dawkins. Bardzo łatwo je zadowolić. Nowy żelazny rondel albo kolczyki z zielonych szkiełek, i każda z nich jest już u szczytu szczęścia. A moja siostra, niestety, to zupełnie inna historia. Słyszeliście, Dawkins, że Emma wychodzi za mąż?

Uśmiech Dawkinsa, nadzwyczaj szeroki i wyrazisty, literalnie przeciął jego twarz na pół.

– Naturalnie, że słyszałem, milordzie. Jakżeby inaczej! Całe hrabstwo raduje się tą nowiną. Bo i nie było chyba nigdy piękniejszej pary niż lady Emma i sir Weldon Dodd!

– Na pewno nie.

Ross skinął głową z wielką satysfakcją. Po śmierci rodziców, którzy dziesięć lat temu zmarli na podstępłą gorączkę, Ross był jedynym bliskim krewnym Emmy. I był zachwycony, że siostra sama zadbała o swoją przyszłość w sposób tak wielce nieskomplikowany.

– Moja siostra bardzo dawno temu upatrzyła sobie sir Weldon na męża. Kiedy jeszcze nie wyściubiła nosa z pokoju dziecinnego. Na szczęście, on darzy ją równie gorącym afektem.

– Ludzie powiadają, że jak młoda para zna się od kołyski, stworzy najlepsze stadło.

– Niestety, Dawkins, ja nadal widzę moją siostrę wyłącznie w pokoju dziecinnym. Nie mogę uwierzyć, że osiągnęła wiek stosowny do zamążpójścia. No cóż... byłem daleko stąd, kiedy skończyła siedemnaście lat. Siedemnaście! Do kroćset! Kiedy wypływałem z Anglii, Emma potrafiła wejść po drabinie na stryszek i pół dnia szukać kociąt, które gdzieś zapodziały się naszej kotce. Kiedy wracała z tego stryszku, wyglądała jak nieboskie stworzenie. Cała w sianie, potargana, we włosach ani jednej szpilki. A teraz szykuje się za męż!

– Czas mija szybko, milordzie. A milorda długo w Anglii nie było.

– Prawie trzy lata.

Ross spojrział w okno, żeby sprawdzić, jak posuwa się naprawa koła w jego powozie. Jako astronom, członek wyprawy naukowej, sponsorowanej przez flotę wojenną, opłynął cały świat bez szwanku, a tu proszę, na dziesięć mil przed Howland Hall powóz wjechał w koleinę i szprycha w kole pękła na pół. Cóż za ironia losu...

Nie gniewało to jednak Rossa zbyt, do czego przyczyniły się niewątpliwie dwa kufle dobrego wiejskiego piwa. Ileż by dał za ten wyborny smak, on i reszta załogi „Perseverance”, kiedy zawijali do Buenos Aires, Honolulu i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze! Poza tym, szczerze mówiąc, ten jego powrót do domu jest zupełnie inny niż poprzednie. Nigdy dotąd nie opuszczał Howland Hall na tak długo. Podczas podróży nie czuł tego, gdzieś na środku Pacyfiku, że czas zupełnie nie ma znaczenia, każdy dzień, każda noc są do siebie bardzo podobne. Ale kiedy dwa tygodnie temu spotkał się z Emmą w Londynie, prawie nie poznał swojej siostry. Podczas jego nieobecności Emma dokończyła edukację i z dziewczęcia zmieniła się w kobietę. Piękną. Gotową do zamążpójścia, posiadania dzieci i Bóg jeden wie, do czego jeszcze, podczas gdy jej trzydziestoletni brat pozostał wędrowcem i marzycielem, bardziej zajęтым gwiazdami na niebie niż śmiertelnikami, stąpającymi po ziemskim padole.

Każdego poranka, kiedy spoglądał w lustro, wydawał się sobie taki sam – osobnik łagodny, promieniujący życzliwością, może nieco potargany i roztargniony, ale nie nadmiernie. Po prostu w sam raz, aby okazać światu, że jest się dżentelmenem, choć przesadnym elegantem na pewno nie. I choć tyle jeździ po świecie, tyle się dowiaduje, nie zmienia się nic a nic. Człowiek w lustrze wciąż jest taki sam. Ta myśl wydała mu się nadzwyczaj trzeźwa, mimo niewątpliwiej mocy piwa, serwowanego przez Dawkinsa.

Westchnął ciężko i przeczesał palcami swoje potargane włosy..

– Domyślcie się więc, Dawkins, na czym polega mój kłopot. Nie mam pojęcia, czym obdarować siostrę w tak ważnym dla niej dniu. I kłopot tym większy, że to istota bardzo niewymagająca. Miedzy Bogiem a prawdą, jak dotąd, o nic mnie nie prosiła.

– No tak... Co tu podarować... co tu podarować... – Barman wolnymi ruchami wycierał lśniący blat. – Żelazny ronderek na pewno nie będzie odpowiednim prezentem dla lady Emmy. Może jakiś klejnocik? Od tego damy nie stronią...

– Ma mnóstwo błyskotek, połowy z nich wcale nie nosi. Poza tym chcę, żeby przed ceremonią zaślubin wybrała sobie jakieś klejnoty ze szkatuły naszej matki.

– Jego lordowska mość jest dżentelmenem nadzwyczaj hojnym... A może jakaś nowa suknia? – Kapelusz przystrojony rzadkimi piórami?

– Jeśli chodzi o stroje, to przed ślubem dałem siostrze całkowicie wolną rękę. – Ross przywołał w pamięci rachunek od krawca, jaki przedstawił mu niedawno buchalter. – Powiedziałem jej, że pod tym względem może sobie pofolgować i siostra posłuchała. Jeśli sir Weldon potrafi być stanowczy, to Emma przez co najmniej pięć lat powinna obejść się bez pary nowych pończoch.

– Może więc powozik? Powozik z parą ładnych koników?

– Weldon już jej podarował. – Uśmiech Rosa coraz bardziej przypominał jakiś grymas pełen rozpacz. – O tym powoziku rozpisywała się w ostatnim swoim liście.

– W takim razie może coś egzotycznego, jakaś rzadka pamiątka, którą milord przywiózł z podróży. Piękna muszla albo róg jednoroźca czy inny cud natury?

– Jednorożec, Dawkins, to wytwór fantazji. Nie ma żadnego naukowego dowodu ani świadectwa prawdy, że istniały lub istnieją.

Ross upił potężny łyk piwa, rozkoszując się przyjemnym ciepłem, rozlewającym się po całym ciele.

– A wiecie, Dawkins, że za zgodą kapitana Williamsa nazwałem imieniem Emmy jedną z wysp, której nie ma jeszcze na mapie? Emmalazja. Tak nazwałem tę wysepkę. Ale wydaje mi się, że na Emmie nie zrobiło to większego wrażenia.

– Milord wie, jakie są kobiety. Dla nich coś, czego nie mogą pokazać innym, pochwalić się przed przyjaciółkami, jest czymś absolutnie bezużytecznym.

– Macie rację, Dawkins. – Ross skinął głową, wdzięczny barmanowi za nadzwyczajną znajomość rzeczy w tej materii. – Ale Emma jest moją jedyną siostrzyczką, słodkie moje jagniątko, i ja bardzo chcę obdarować ją czymś rzadkim, niezwykłym, czymś, co będzie jej godne.

Nagle tuż za Rossem ktoś chrząknął, zaraz potem przemówił męski głos, wyjątkowo donośny i dźwięczny.

– Wasza lordowska mość raczy wybaczyć, że jego słowa przypadkiem dobiegły do mych uszu. Ale nie mogłem się powstrzymać przed zapoznaniem się z naturą dylematu, trapiącego milorda. I myślę, milordzie, że mogę dać ci nadzieję, mogę zaoferować ci cud. Krótko mówiąc, pragnę zaoferować prezent ślubny niebywały, najwspanialszy wśród ślubnych prezentów.

Ross odwrócił się, odsuwając przedtem od siebie kufel, aby broń Boże, piwa nie rozlać. I dobrze, że wykazał się taką przezornością, bo omal nie podskoczył na widok indywiduum, które teraz ukazało się jego oczom.

Spodziewał się ujrzeć kogoś w chłopskiej bluzie lub też w skórzanej kamizelce stajennego, czyli odzieniu najczęściej spotykanym w gospodzie Tawny Buck. A to dziwaczne indywiduum płci męskiej wyglądało jak, nie przymierzając, jakiś druid.

Z ramion mężczyzny spływał ku ziemi płaszcz długi, purpurowy, obszty wyblakłymi nieco złocistymi galonami. Palce zdobiły pierścienie nadnaturalnej wielkości. Siwe, wijące się włosy opadały na ramiona jak grzywa leciwego lwa. Twarz nieznanego emanowała dostojeństwem. Nos pasowałby samemu Cesarowi, czoło wysokie i szerokie, pełne powagi. Oczy zadziwiająco piękne, ciemnoniebieskie, a właściwie granatowe, jak niebo tuż po północy. Oczy mądre, które widziały wiele smutków i radości, i nadal się od nich nie odwracają.

Ross sposepniał i lekko potrząsnął głową, żeby nieco w niej rozjaśnić. Cóż to się dzieje? – Czy to piwo, czy też ten niebywały starzec sprawia, że astronom zaczyna myśleć jak poeta?

Starzec tymczasem, w oczekiwaniu na odpowiedź Rossa, skrzyżował ramiona na piersi, czyniąc to ruchem bardzo efektownym, wprawił bowiem przy tym w ruch cały swój płaszcz. Miękki aksamit uniósł się jak purpurowa fala i owinał się wokół starca. Ross nadal jednak zachowywał milczenie, po prostu brakło mu słów. Starzec, odczekawszy chwilę, uniósł dumnie głowę i ponownie zabrał głos.

– Znam rozwiązanie twego dylematu, milordzie. Znam sposób, aby siostra twoja nie posiadała się z radości, a jej wdzięczność była bezgraniczna...

– Wystarczy, ty stary łotrzyku! – Dawkins wyszedł zza baru i chwyciwszy starego człowieka mocno za ramię, zaczął popychać go w stronę drzwi, mrużąc gniewnie: – Jego lordowska mość nie potrzebuje, żebyś wtykał nos w jego sprawy...

– Dawkins! Poczekajcie no!

Ross uśmiechnął się. Długa podróż statkiem nauczyła go wiele, między innymi tego, że najlepszą informację uzyskuje się często z najbardziej nieprawdopodobnego źródła.

– A więc proszę! Podzielcie się ze mną swoją nadzwyczajną sugestią, dobry człowieku. Bo ja, niestety, pomysłu żadnego nie mam.

Stary człowiek, obrzuciwszy Dawkinsa spojrzeniem pełnym pogardy, uwolnił z jego uścisku swoje ramię i z ponownym łopotem purpurowego

aksamitu zgiął się przed Rossem w głębokim ukłonie.

– Alfred Lyon, uniżony sługa waszej lordowskiej mości! Wyłączny właściciel, dyrektor i główny aktor w sławnej i podziwianej trupie aktorów wędrownych, która teraz jest wyłącznie, powtarzam: wyłącznie do dyspozycji milorda.

Dawkins z niesmakiem potrząsnął głową.

– Czyli po prostu komediant, co to umie pleść tylko bzdury! Milord pozwoli, że wyrzucę tego nicponia na kupę gnoju za domem, zanim sięgnie do kieszeni milorda albo podkradnie mu piwo!

Stary człowiek rzucił na Dawkinsa spojrzenie miażdżące.

– Wasza lordowska mość! Nie jestem ani Cyganem, ani złodziejem! – wykrzyknął z największym oburzeniem. – Jestem aktorem, człowiekiem uprawiającym szlachetną sztukę dramatyczną!

– Dawkins, ręczę, że twoje insynuacje są bezpodstawne – oświadczył Ross. Naturalnie, że stary nicpoń jest przebierańcem i oszustem, bo kimże innym są ci komedianci. Ale Ross zdążył już wypić wystarczająco dużo piwa, by uznać, że stary komediant jest po prostu zabawny. – A poza tym ciekaw jestem, cóż tam pan Lyon zamierza mi doradzić w kwestii podarku dla mojej siostry.

– A doradzę, doradzę, wasza lordowska mość! Uczynię to, zaszczycony możliwością rozmowy z milordem. Jest jeden tylko szkopuł... – Lyon zakasłał, wyciągając przy tym szyję, jak zaniepokojony czymś kurczak. Oczy wytrzeszczył, smukłe palce dotknęły gardła. – Proszę wybaczyć, milordzie, ale moje gardło nie przywykło do mówienia, gdy jest wyschnięte jak wielka Sahara w samo południe.

– No proszę... – syknął Dawkins. – Widzi milord? Już się przymawia, żeby milord kupił mu piwo. Mówiłem, że tak czy inaczej on wyciągnie coś od milorda.

– Dobrze, dobrze, Dawkins! Nalejcie no panu Lyonowi kufel piwa, żeby nawodnić tę jego wielką Saharę!

– Proszę wybaczyć, milordzie, ale moje gardło jest instrumentem nadzwyczaj cennym i delikatnym. To dar od bogów – Lyon zakasłał ponownie.

– Brandy, łaskawco, tylko brandy godną dżentelmena, jak zalecił mi mój medyk.

– Ten twój medyk to osioł i... – zaczął zapalczywie Dawkins, ale Ross uciszył go ruchem ręki.

– Dawkins! Podajcie panu Lyonowi brandy, a pan Lyon zdradzi, jakież to nadzwyczajny pomysł trzyma w zanadrzu.

– Nie pomysł, a propozycję, milordzie.

Lyon podniósł szklaneczkę pod światło padające z okna i przez chwilę, jak jakiś nadzwyczajny koneser, pilnie studiował barwę szlachetnego trunku. Dopiero potem upił pierwszy łyk.

– Przystępuję więc do rzeczy, milordzie. Moja trupa wędrownych aktorów chwilowo, jakby to określić, oddaje się miłej bezczynności. Takie

przelotne *dolce far niente* między dwoma angażami. I trzeba milordowi wiedzieć, że ja w mojej trupie, oprócz pierwszorzędných aktorów i aktorek, mam również najbardziej natchnionych dramaturgów. Możemy napisać sztukę, bardzo wdzięczną i w dobrym guście, o nadzwyczajnej miłości, która połączyła młodą parę. Tę sztukę wystawimy w uroczystym dniu. Ręczę, milordzie, że i państwo młodzi, i goście weselni zachwycać się będą nadzwyczajnym pomysłem milorda, jego niezwykłą inteligencją i hojnością.

Dawkins prychnął.

– Sztuka teatralna! Też coś! Mówiłem milordowi, że to jakieś banialuki będą...

– A mnie się wydaje, że siostra moja wcale tak tego nie osądzi i rzecz cała dla niej będzie nadzwyczaj ekscytująca – oświadczył rozbawiony Ross. – Ujrzeć siebie na scenie, jako heroinę dramatu o sobie samej. Niebywałe!

– A może wcale nie będzie taka zachwycona! – zaprotestował nieprzejednany Dawkins. – Bo i ciekawe, milordzie, któż to taki będzie na scenie udawać siostrę milorda! Jeśli ta heroina podobna będzie do tego tutaj łotrzyka, to lady Emma zażąda na kolację głowy milorda! I nikt jej za to winić nie będzie!

– Zapewniam waszą lordowską mość, że rola uroczej panny młodej powierzona zostanie mojej córce, dziewczęciu liczącemu dwadzieścia wiosen – oświadczył Lyon, składając przed Rossem głęboki ukłon. – Ojca, uwielbiającego swoje dziecię, można podejrzewać o stronnictwo, ja jednak z czystym sumieniem i największą uczciwością mogę stwierdzić, że uroda mojej córki jest nieskazitelna, a wdzięk naturalny, bez cienia afektacji.

Dawkins syknął cicho, wyrażając niewątpliwie wielki sceptycyzm co do urody panny Lyon, ale ojciec panny Lyon, wyjątkowo pewny w tej kwestii, zignorował go całkowicie.

– Szanowni widzowie zgotują wielkie owacje, doszukując się podobieństwa, milordzie – oświadczył stanowczo.

Ross w milczeniu kiwnął tylko głową. Emma na pewno byłaby zachwycona, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Cóż jednak pomyślą goście weselni – rodzina Weldon, najbliżsi przyjaciele zmarłych rodziców Emmy i Rossa, ciotki i wujowie w podeszłym wieku, rodzice chrzestni, także oficerowie i dżentelmeni, których poznał w admiralicji. Ross jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że to szacowne grono podzieli zachwyty Emmy nad starym afektowanym przebierańcem i jego zgrają cygańskich komediantów. Goście po prostu będą szeptać między sobą, że Rossowi, kiedy opływał przyłodek Horn, odebrało rozum, skoro zdecydował się zaserwować taką rozrywkę w okolicznościach tak szczególnych. A Dawkins zapewne teraz myśli sobie w duchu, że jego lordowska mość jest zwyczajnym głupcem. I jeśli Ross przystanie na propozycję Lyona, oni wszyscy będą mieli rację.

– Czy wasza lordowska mość może podać dzień, w którym Hymen, to weselne bóstwo, ma zawitać do domu milorda? – spytał Lyon, przebierając

szczupłymi palcami po brzegu lśniącego blatu. – Jeśli mamy pannę młodą uhonorować tak, jak na to zasługuje, przygotowania należy rozpocząć jak tylko...

– Lordzie Howland!

Przed Rossem, jak spod ziemi, wyrósł nagle chłopak stajenny, z czapką w ręku.

– Powóz waszej lordowskiej mości już naprawiony. Mówią, że koło jest lepsze niż przedtem.

– Dziękuję, chłopcze.

Ross dopił piwo, wstał, szperając jednocześnie w kieszeni w poszukiwaniu kilku monet.

– Dawkins, to dla ciebie, za piwo i za to, żeś mnie wysłuchał.

– Dziękuję, milordzie. I pozwolę sobie, jeśli można, życzyć wszelkiej pomyślności lady Emmie i sir Weldonowi. A milordowi szczęśliwej drogi do domu po tak długiej nieobecności.

– Jak Ulisses! Po długiej tułaczce wraca w swoje progi! Nie ma lepszego początku dla naszego dramatu! – Lyon wznosił obie upierścienione dłonie, dziękując niebiosom za inspirację. – Upadek Troi, gniew straszliwych Harpii* [*Harpie – złośliwe demony, porywające ludzi i ich dobytek (z mitologii greckiej).], groza pełna majestatu Scylli i Charybdy*! [*Scylla i Charybda – potwory morskie, usadowione na brzegu po obu stronach wąskiej cieśniny i czyhające na żeglarzy (z mitologii greckiej).]. Och, ileż pomysłów na wspaniały spektakl!

Ross słuchał, przetrawiając w duchu homerowską wizję. Po chwili milczenia, sięgając po kapelusz, oświadczył stanowczym tonem:

– Nie, panie Lyon, żadnego spektaklu nie będzie. Bardzo mi przykro, że rozczarowałem pana, ale moja wyobraźnia nie dorasta do pańskiej.

Purpurowy aksamit załopotał. Lyon pośpieszył za Rossem, podążającym ku drzwiom.

– Ależ milordzie! Wszystko przecież można rozważyć, moglibyśmy...

– Panie Lyon, mnie spieszno, nie było mnie w domu trzy lata.

– Tym bardziej należy uświetnić ten szczególny dzień!

– Panie Lyon! – Ross przystanął tuż przed otwartymi drzwiami, aktor stanął obok, mrużąc oczy przed jasnym, popołudniowym słońcem. Ross ujął dłoń starego człowieka i wcisnął w nią monetę.

– Niech pan wypije jeszcze jedną brandy za szczęście mojej siostry i będziemy kwita!

Palce Lyona zacisnęły się na monecie, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Ross wskoczył już do swego powozu. Trzasnęły drzwi, konie ruszyły z kopyta.

Scylla i Charybda. Paradne! Ross westchnął i oparł się wygodniej o skórzane poduszki. Za oknem migąły znajome zielone pola i wioski. Trzy lata przygód dobiegły końca. Może i Ross nie był herosem na miarę Ulissesa, ale swoje przeżył i teraz nie tęsknił za niczym innym, jak tylko za ciszą,

spokojem i wygodą własnego łóżka...

Ziewnął. No cóż, nie na darmo wysączył kilka kufla piwa. Znowu poprawił się na skórzanych poduszkach. Oby tylko przebrnąć gładko przez ślub Emmy, potem nastąpi niczym nie zmacony spokój. O, tak... Spokój i cisza...

ROZDZIAŁ DRUGI

Kordelia Lyon zmierzała drogą wjazdową do Howland Hall krokiem rączym, prowadzącym zdecydowanie do celu. Pod stopami chrzęściły cichutko potłuczone białe muszelki. Szła szybko, ponieważ ona wszystko robiła w taki właśnie sposób – w pośpiechu, nie tracąc ani sekundy. Tym razem jednak pośpiech miał jeszcze inną przyczynę. Im szybciej będzie szła, tym mniej będzie prawdopodobne, że ktoś ujrzy ją za wcześnie. Kordelia nie na darmo nosiła nazwisko Lyon. Kordelia wiedziała doskonale, co znaczy odpowiednie *entree*.

Chciała pojawić się znienacka na frontowych schodach, opanowana, dostojna, jakby przed chwilą wysiadła z powozu, przybywając tu z konwencjonalną poranną wizytą. Jakby przed chwilą nie zeskoczyła ze zwykłego, chłopskiego wozu, który wiózł ją z gospody pod bramę posiadłości. Nie daj Boże, żeby ktoś podejrział Kordelię na tej drodze, kiedy czerwona i zziębnięta gna przed siebie, zebrawszy spódnice w garść, aby ratować ją przed białym pyłem, unoszącym się z potłuczonych muszelek.

Już schody, szerokie, marmurowe. Zatrzymała się przed nimi na moment i spojrzawszy czujnie w górę, szybciotko osuszyła twarz chusteczką. Howland Hall to nie pałac, tym niemniej domostwo okazałe i imponujące, stosowne na siedzibę hrabiego Mayne i jego siostry. Ściany z żółtawego kamienia wapiennego w słońcu poranka błyszcząły złociście. Dwa rzędy wysokich gotyckich okien, zamkniętych u góry łukiem, nowy dach kryty łupkiem z przedziwnymi kamiennymi postaciami, podtrzymującymi kominy. Pięknie, solidnie, schludnie i bogato. I jakoś to ma się nijak do tego, co umyślił sobie wczoraj jej ojciec w wiejskiej gospodzie...

Orzeczawszy spódnice, szybko wbiegła na schody. Niebieska suknia podróżna i redingota* [* Redingota – suknia-płaszcz z dużym kołnierzem pelerynkowym, często szamerowana z przodu.] były w modzie co najmniej dziesięć lat temu, ale srebrzysty szamerunek i guziki prezentowały się nieźle. Wszystkie zagniecenia zostały skutecznie potraktowane białym octem i Kordelia była pewna, że żaden hrabia nie zorientuje się, że jej strój został wyciągnięty z kufra z kostiumami. Wzburzyła troszkę palcami włosy, kapelusz z szerokim rondem nasadziła na bakier. Wyprostowała ramiona, wyobrażając sobie, że jej kręgosłup jest ze stali, dzięki czemu jej postawa jest idealna. Jeszcze tylko trzy razy głęboki wdech, żeby uspokoić głos i Kordelia, chwyciwszy za kołatkę w kształcie delfina, zastukała dwa razy.

Przedstawienie się zaczęło. Kordelia była gotowa wygłosić swoją kwestię.

– Witam panią. W drzwiach stanął lokaj i spojrzął na nią bacznie sponad swego długiego nosa, bez wątpienia oceniając jej wygląd, po czym wzrok jego pomknął dalej, w poszukiwaniu jej powozu.

– Dzień dobry.

Kordelia uniosła jedną brew, co powinno gamoniowi wystarczyć, aby

pojął, że ona nie ma ochoty czekać, skoro stajenny zabrał już jej konie do stajni.

– Proszę zaanonsować mnie jego lordowskiej mości.

Lokaj zawahał się, co wystarczyło Kordelii na wsunięcie się do wprost otwartych drzwi i dalej, do środka, jakby miała do tego pełne prawo. O czym ona, naturalnie, była głęboko przekonana.

– Pani raczy wybaczyć. A kogo mam zaanonsować?

Lokaj nie spuszczał z niej czujnego wzroku. Czyli zastanawiał się nadal, czy Kordelia jest osobą godną zaufania i czy lepiej drzwi nie zamykać, na wypadek, gdyby tę osobę trzeba było wypraszać z powrotem na dwór.

– Jak godność łaskawej pani?

– Nazwisko nieistotne. Jego lordowska mość rozpozna sprawę, z którą przychodzę. Powiedźcie mu, że przybyłam w sprawie uroczystości weselnych jego siostry Emmy. I życzę sobie, żebyś uczynił to żywo. Wiem, że lord Howland jest tutaj, o tak wczesnej porze żaden dżentelmen nie wychodzi z domu.

Lokaj nie ruszał się z miejsca.

– Lord Howland nie przyjmuje nikogo, kto przemilcza swoją godność – oświadczył.

– A mnie się wydaje, że to wasza zasada, dobry człowieku, a nie waszego pana. – Kordelia pamiętała doskonale, jak ojciec się rozplątywał nad uprzejmością i hojnością lorda Howlanda. – O ile mi wiadomo, lord Howland nie osądza ludzi pochopnie, a wy próbujecie mu to imputować!

Lokaj spochmurniał, w jego oczach błysnął gniew i zrobiło się nieprzyjemnie. Niedobrze. Zdaje się, że Kordelia Lyon działa zbyt bezpardonowo. Za dużo w niej Kordelii, a za mało miłutkiej młodej damy, która bez kwestii wpuszczona byłaby do salonu lorda Howlanda. Czyli z Kordelii aktorka raczej kiepska, skoro tak prędko zapomniała o swojej roli.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki twarz Kordelii złagodniała, głos stał się cichy i drżący. Uśmiechnęła się naturalnie, ale raczej nieśmiało, w oczach zakręciły się łzy. Łzy były jej specjalnością.

– Wiem, jak wielka spoczywa na was odpowiedzialność, sir – powiedziała cichym głosem, pozwalając, aby jej ramiona opadły bezradnie.

– Musicie być surowi, nie mam prawa mieć do was o to pretensji. I obiecuję, że jeśli jego lordowska mość nie będzie skłonny do spotkania ze mną, wyjdę stąd posłusznie, nie sprawiając żadnego kłopotu. Ale ja muszę spróbować z nim się zobaczyć, obiecałam to memu ojcu. Nie mogę stąd wyjść, póki nie spełnię jego prośby.

Z wielką satysfakcją patrzyła, jak teraz twarz lokaja łagodnieje, znika z niej podejrzliwość, a pojawia się nawet coś na kształt współczucia.

– Zaanonsuję panią – oświadczył, zamykając drzwi. – Ale uprzedzam, milord je właśnie śniadanie i może wcale nie zechce pani przyjąć.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – szepnęła Kordelia, spuszcżając wzrok. – Jestem wdzięczna, że wolno mi tu poczekać i mieć nadzieję.

Patrzyła, jak lokaj powoli oddala się po lśniącej wywoskowanej posadzce, jego nogi wybijały miarowy rytm, odbijający się echem po wielkim holu. Cisza w domu tak ogromnym wydawała się Kordelii nader osobliwa. Ona całe swoje życie spędziła w hałaśliwej gromadzie aktorów, koczujących po drugorzędnych gospodach i zajazdach. Jak to jest, kiedy żyje się w świecie ciągłego spokoju? Oprócz kroków lokaja słyszeć było tylko miarowe cykanie zegara gdzieś na piętrze, a kiedy lokaj, przemierzywszy hol, otworzył drzwi, Kordelia usłyszała cichutki brzęk sztućców, zapewne srebrnych, dotykających porcelany, wiadomo, najbardziej kruchej. Ponadto dwa głosy, dżentelmena i damy, niewątpliwie bardzo młodej.

Kordelia, niezmiernie zaciekawiona, aż pochyliła się do przodu, żeby nie uронić ani jednego słowa. Podsluchiwanie też było jej specjalnością. Bo i jak aktor ma nabyć biegłości w naśladowaniu mowy innych ludzi, jak nie przez słuchanie? A teraz chciała dowiedzieć się jak najwięcej o lordzie Howlandzie, co mogło się przydać podczas czekającej ją rozmowy.

Słyszała, jak lokaj ją zaanonsował, lord coś odpowiedział, ale niestety, jego słowa były niezrozumiałe. Głos był jednak zdecydowanie młody, jakoś nie pasujący do opisu ojca, z którego wynikało, że ów lord to wielce czcigodny dżentelmen, uczony i podróżnik, który opłynął cały świat, badając najbardziej egzotyczne jego zakątki. Prawdopodobnie ten obieżyświat ciszę swego domu też uznaje za lekko irytującą...

Najważniejsze, że lord Howland lubi piwo, z którego słynie gospoda Tawny Buck. Może nie do tego stopnia, co ojczulek – pod tym względem Alfredowi Lyonowi mało kto potrafił dotrzymać kroku – ale miejmy nadzieję, że wystarczająco, aby wspomnienie wczorajszego wieczoru było dość mgliste...

– Jego lordowska mość prosi. – Ukłon lokaja był prawie niedostrzegalny. – Tędy, proszę.

Kordelia przyglądała włosy, nakazując sobie w duchu zachować kamienny spokój. To *entree* miało znaczenie podstawowe, Kordelia zdecydowana była dołożyć wszelkich starań, aby wypadło jak najlepiej.

– Milordzie, oto ta dama.

Lokaj przytrzymał otwarte drzwi i Kordelia wplynęła do środka, stosując odpowiednio małe kroczyki tancerki, dzięki czemu jej spódnice bardzo wdzięcznie unosiły się wokół nóg. Pokój zalany był słońcem, przez otwarte drzwi widać było trawniki i ogród. Długi stół, przykryty białym obrusem, zastawiony był tak suto, że zdołałby wykarmić całą trupe wędrownych aktorów Alfreda Lyona, i niezależnie od nakarmienia do syta zasiadającego za tym stołem rodzeństwa.

Wyczarowanie uśmiechu w tym momencie kosztowało wiele wysiłku, zważywszy na cichutką reakcję żołądka, ożywionego nagle zapachem smażonego bekonu, jajek i świeżutkich bułeczek, zapewne dopiero co wyjętych z pieca.

– Witam, milordzie! – odezwała się, przykucając w efektownym ukłonie, czyli dyg głęboki, ręce lekko uniesione, dłonie wygięte do góry. – Dla mnie wielki zaszczyt, że jego lordowska mość zgodził się mnie przyjąć.

– Witamy panią – odezwała się dźwięcznym głosem siostra hrabiego, słodziutka ślicznotka, różowo-biała jak pastereczka z cukru. Pastereczka bardzo jeszcze młoda, nie przejmująca się okruszkami tosta na różowych usteczkach i policzkach. Pastereczka nakładała sobie właśnie marmoladę na następny spieczony trójkąt i zerknęła na Kordelię z nieskrywaną ciekawością. – Nie wydaje mi się pani taka groźna...

– Bo i nie jestem, milady – zapewniła ją gorąco Kordelia. – Wręcz przeciwnie, przybyłam tu specjalnie, aby sprawić milady radość największą z największych.

– Radość? Największą?

Krzesło przy drugim końcu stołu cichutko szurnęło. Hrabia podniósł się powoli, ściskając w dużej, mocnej dłoni serwetkę. Poplamione atramentem palce nie uszły uwadze Kordelii. A już trudno nie było dostrzec, że lord Howland jest mężczyzną słusznej postury, wyższym, niż się spodziewała, barczystym, nieco jednak przygarbionym, jakby spędzał za dużo czasu pochylony nad książkami.

Był jednak bardzo przystojny, choć wygląd miał, jakby to określić, taki zgodny z naturą. Twarz spalona słońcem, ciemne wijące się włosy wymagały ostrzyżenia. Ojczulek stanowczo powinien był przestrzec Kordelię. Ten hrabia nie był przystojny na modłę klasyczną, jak najlepiej opłacani londyńscy aktorzy albo wymuskani dżentelmeni w ubraniach jak spod igły, zajmujący drogie łóżka w teatrze. Hrabia miał wygląd nieskrępowany, jednocześnie bardzo męski. I oczy cudowne. Ciemny brąz, prawie czarne, poza tym...

– Panno...

O, Hadesie! Hrabia uprzejmie próbuje doprowadzić ją do przytomności. Bo ona zagapiła się, nie słuchała, co mówił, jednym słowem, zachowuje się jak nierozgarnięta dziewczę i zasłużyła na to, aby teraz wszedł lokaj i wyprowadził ją za drzwi.

Zaśmiała się, naturalnie, perliście, żeby pokryć własne zakłopotanie i dodać sobie animuszu.

– Tak, tak, milordzie. Żeby sprawić największą radość.

Hrabia skinął głową, jakby uznając jej chwilę nieuwagi za niebyłą.

– Wiem, że lady Emma wkrótce wychodzi za mąż – ciągnęła Kordelia – a każda panna młoda z tak szczególnej okazji powinna otrzymać coś wyjątkowego.

Hrabia uśmiechnął się i choć Kordelia zdawała sobie sprawę, że uśmiech ten przeznaczony jest przede wszystkim dla jego siostry, jej również zrobiło się jakoś tak lżej na sercu i w ogóle... miło.

– Jestem pewien, że moja siostra mniema w tej kwestii to samo, a teraz usycha z niecierpliwości...

– Oczywiście, że mniemam to samo – odezwała się Emma, sięgając po srebrny czajnik.

– I jestem bardzo ciekawa, choć może z tego powodu jeszcze nie usycham. Bardzo proszę, niech pani siada. Ma pani ochotę na filiżankę herbaty?

– Z miłą chęcią, milady. – Kordelia, jak miły gość z odpowiedniej sfery, z gracją zajęła miejsce na krześle i odebrała z rak Emmy filiżankę herbaty. Nawet nie marzyła, że wypadki potoczą się tak szybko i przybiorą tak korzystny obrót. – Milady bardzo łaskawa.

– Pani wybaczy – odezwał się hrabia ze swojego miejsca na drugim końcu stołu. Serwetka nadal tkwiła w jego poplamionych atramentem palcach.

– Z tego, co przekazał nam Thomson, jestem pewien, że jest pani jedną ze znajomych dam, która przybyła, żeby powitać mnie w kraju ojczystym. Ale ja zupełnie nie mogę połączyć pani twarzy z żadnym nazwiskiem.

– Oczywiście, Ross, że nie możesz znać tej damy – powiedziała Emma – bo nigdy jej przedtem nie widziałeś. Powiedziałam ci, że to niemożliwe, aby była to jedna z twoich znajomych dam. Im wszystkim znudziło się czekanie na ciebie i powychodziły za mąż.

– Pańska siostra ma rację, milordzie – odezwała się Kordelia. – Ja nie dostąpiłam jeszcze zaszczytu bycia przedstawioną jego lordowskiej mości. Ale pan poznał już mojego ojca. Jestem Kordelia Lyon, odtwórczyni głównych ról kobiecych w trupie aktorów wędrownych Alfreda Lyona. Jestem również jedynym dzieckiem Alfreda Lyona. A pan spotkał go wczoraj wieczorem w Tawny Buck.

– Rzeczywiście.

Hrabia opadł ciężko na swoje krzesło, a Kordelia zauważyła, że jego śniadanie, w przeciwieństwie do śniadania siostry, przedstawiało się nader skromnie. Herbata słabiutka i bez śmietanki. Żadnej wędliny ani bekonu, ani jajek, żadnych słodkich bułeczek, smarowanych grubo masłem. Dla Kordelii był to dowód oczywisty, że jego lordowska mość pofolgował sobie wczoraj w kwestii piwa i dał się sprowadzić Alfredowi Lyonowi na manowce. Szkopuł tylko w tym, co milord zatrzymał w pamięci.

– Panna Kordelia Lyon, córka Alfreda Lyona? – Hrabia zasepił się i nagle z drugiego końca stołu powiało chłodem. Hrabia zdecydowanie nie był zachwycony widokiem Kordelii Lyon. – No tak – mruknął. – To by wyjaśniało, dlaczego pani jest tak niepodobna do znajomych mi dam.

– A to dlatego, że panna Lyon jest o wiele piękniejsza niż którakolwiek z twoich znajomych dam – oświadczyła Emma. – Ty oczywiście tak istotnych rzeczy nie spostrzegasz, bo wciąż trzymasz nos w tych twoich książkach.

Hrabia nabrał głęboko powietrza, właściwie prawie jęknął.

– A gdzie ojciec pani, panno Lyon? Czy przyjechał tu z panią?

– Och, nie! – Kordelia uśmiechnęła się, z nadzieją, że hrabia odwzajemni uśmiech. – Ojciec godziny poranne woli poświęcić swojej muzie.

Tak określał to ojczulek, choć chrapanie Alfreda Lyona, dobiegające z

pokoju na poddaszu niemal do południa – w czym zresztą sekundowała mu dzielnie reszta trupy – zdecydowana większość ludzi oceniłaby jako zajęcie mało twórcze.

– Czy pani ojciec jest dramaturgiem, panno Lyon? – spytała zaciekawiona Emma, zagłębiając białe ząbki w marmoladzie, pokrywającej tosta. – Ja, niestety, nie znam nikogo, kto poświęcałby się jakiejś muzie.

– Pan Lyon jest aktorem, Emmo – powiedział hrabia. – A panna Lyon jest aktorką. Oboje należą do cygańskiej trupy aktorów, która właśnie przejeżdża przez nasze hrabstwo.

Uśmiech na ustach Kordelii zamarł. Niestety, spodziewała się po hrabim czegoś innego. Rozczarowanie było bardzo gorzkie. Ciepłe, ciemne oczy hrabiego, niby pełne uprzejmości i życzliwości, zwiodyły, teraz jego chłodna dezaprobata była aż nadto wyczuwalna. Kordelia, jak zresztą i wszyscy pozostali aktorzy i aktorki, z podobną reakcją stykała się przez całe życie. Tym niemniej ojczulek powinien był uprzedzić Kordelię, że pod tym względem lord Howland nie stanowi wyjątku.

– Mój ojciec jest właścicielem, dyrektorem, dramaturgiem i głównym aktorem w wędrownym trupie Alfreda Lyona – powiedziała głośno i dobitnie. – Ja jestem jedną z jego aktorek. Wystawialiśmy sztuki w Londynie, Bath, Edynburgu i wielu innych miastach, zabawiając publiczność z najwyższych sfer, łącznie z rodziną królewską.

Emma otworzyła szeroko swoje błękitne oczy.

– Ross! Pomyśl tylko! Panna Lyon występowała przed rodziną królewską, a ja nawet nie zostałam jeszcze przedstawiona na dworze królewskim! – zawołała zdumiona.

Na hrabim wywód Kordelii nie uczynił żadnego wrażenia.

– Panna Lyon jest aktorką, potrafi odpowiednio dobrać słowa, Emmo. Królewska rodzina równie dobrze może tu oznaczać króla małp i osłów.

– Albo i Jego Wysokość Księcia Regenta – oznajmiła chłodno Kordelia, wzruszając lekko ramionami. – Interpretacja jest dla mnie, jako aktorki wszystkim, milordzie.

Hrabia prychnął.

– A dla mnie prawda jest o wiele ważniejsza.

– Oczywiście, milordzie. – Kordelia uśmiechnęła się teraz wyjątkowo słodko. – Ale czymże jest interpretacja, jak nie złagodzeniem prawdy?

– Rzeczywiście, panno Lyon. – Hrabia po raz kolejny sposepniał, prawdopodobnie zastanawiając się nad stwierdzeniem Kordelii.

A ona, nie czekając, aż hrabia dojdzie do daleko idących wniosków, zwróciła się do Emmy. Swoją kartą atutową Kordelia zamierzała zagrać w ostateczności, niestety, lord po prostu sam ją do tego zmuszał. Poza tym – kto nie ryzykuje, ten traci. Jeśli trupa nie dostanie angażu, nie będzie czym płacić rachunków przez najbliższe cztery tygodnie.

Nachyliła się nieco ku dziewczynie, filizanka nawet nie zadrżała w jej

smukłych palcach.

– Milady? Nawet jeśli jego lordowska mość pragnie uczynić tajemnicę jeszcze głębszą, ja po prostu nie potrafię dłużej trzymać tego w sekrecie. Brat milady, dżentelmen wyjątkowo hojny i wspaniałomyślny, wczoraj wieczorem zaangażował naszą trupę w celu uświetnienia uroczystości weselnych. Wystawimy sztukę, aby uczcić państwa młodych. Każda kwestia, wypowiedziana przez aktorów, będzie słać nadzwyczajne uczucie i szacunek, które łączą milady z jej przyszłym małżonkiem.

Wyrzuciła to z siebie. Klamka zapadła. I albo od jutra trupa Lyona zacznie próby w Howland Hall, albo Kordelia za moment poczuje na plecach ciężką rękę lokaja, kiedy będzie spychał pannę Lyon po szerokich, marmurowych schodach.

Na hrabiego nie śmiała spojrzeć. Lady Emma, na szczęście, zauważyła tylko jeden aspekt tej intrygi.

– Ross? I to wszystko dla mnie?! – wykrzyknęła radośnie, klaszcząc w ręce. – Jakiż cudowny prezent! Dramat, którego bohaterką będę ja, a bohaterem mój drogi Weldon! I ta sztuka zostanie odegrana tutaj, w naszym domu, przed naszymi gośćmi! Czy ja dobrze pojęłam? Ross, to cudowny prezent!

Hrabia podniósł obie ręce.

– Spokojnie, Emmo, nie powinnaś ekscytować się tak byle głupstwem.

– Głupstwem? Ależ, Ross, przecież to ma być sztuka o mnie!

Lady Emma zerwała się z krzesła, obiegła stół i zarzuciwszy mu ręce na szyję, ścisnęła go w sposób niemal niebezpieczny dla jego oddechu.

– Och, Ross, przecież to wyborny pomysł! Wybacz, mnie nigdy by do głowy nie przyszło, że potrafisz obmyślić tak cudowny prezent!

Hrabia próbował uwolnić się z uścisku, jego lekko potargane włosy teraz były w jeszcze większym nieładzie.

– Uspokój się, Emmo, nic jeszcze nie zostało ostatecznie ustalone. Nie wiadomo, czy to w ogóle jest możliwe, do ślubu zostało niewiele czasu.

– Dwa tygodnie, milordzie – odezwała się Kordelia. – Jeśli dołożymy starań i zrobimy odpowiednio dużo prób, na pewno zdążymy przygotować przedstawienie ku uciechu milady.

– Och, Ross, słyszałeś? – Lady Emma nie posiadała się z zachwyty, kwestia prób zdawała się jej w ogóle nie obchodzić. – Panna Lyon i jej aktorzy gotowi są przygotować dla mnie przedstawienie teatralne!

– Naturalnie, milady. I to będzie bardzo piękne przedstawienie. Przepiękne! – Kordelia wykonała ręką ruch bliżej nieokreślony, jakby starała się oddać niebywały wymiar piękna całego przedsięwzięcia. – Milady będzie zachwycona, obiecuję. Jest tylko jeden maleńki kłopot ze znalezieniem jakiegoś lokum dla naszej trupy...

– Och! To żaden kłopot! – przerwała Emma. – Nasz dom będzie pełen weselnych gości, ale domek przy bramie wjazdowej stoi przecież pusty, a nasz kucharz jest dostatecznie biegły w swojej sztuce, żeby ugotować dla paru

dodatkowych osób.

– Milady jest zbyt łaskawa, naprawdę zbyt łaskawa.

Kordelia wstała i złożyła ukłon, starając się, wyglądać na zadowoloną, a nie na uszczęśliwioną. Widziała już ten domeczek przy bramie wjazdowej, Kordelia nie przypominała sobie, żeby trupa kiedykolwiek miała tak urocze lokum. Tak urocze, że Kordelia postanowiła kwestii wysokości gaży w ogóle teraz nie poruszać.

– Domek jest śliczny i w sam raz, milady. Nasza trupa nie jest zbyt liczna, stawiamy na talent, a nie na liczebność.

Emma skwapliwie skinęła głową.

– Panno Lyon, myślę, że sala balowa będzie się nadawała na salę teatralną. Czy będzie tam można również robić próby?

– Emmo, proszę, opanuj się!

Hrabiemu udało się w końcu wyswobodzić z gorącego uścisku siostry, – Nie spędziłem w domu jeszcze nawet jednego dnia, a ty spraszasz tu jakichś cygańskich, wędrownych aktorów!

Kordelia aż sarknęła z oburzenia.

– Proszę wybaczyć, milordzie, ale my jesteśmy wędrowną trupą profesjonalnych aktorów! – oświadczyła, unosząc dumnie głowę. Pióro przy kapeluszu zadrżało. – Nie jesteśmy Cyganami. A jeśli takie jest mniemanie jego lordowskiej mości, no cóż... W takim razie... rezygnujemy...

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie Emma. – Panno Lyon, błagam, niech pani nas nie opuszcza! Pani nie może tego zrobić! Ross, przecież to byłby najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek od ciebie dostałam! I teraz chcesz mi go odebrać, obrażając biedną pannę Lyon!

Hrabia westchnął. Jego palce nerwowo bębniły po poręczy krzesła. Z irytacją człowieka, który wie już, że przegrał.

– Wcale nie obrażam panny Lyon – oświadczył. – I niczego ci nie odbieram, Emmo. Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa, to wszystko. Chcę uczynić to, co dla ciebie najlepsze.

Emma spuściła oczy, nagle pochłonięta tłustą plamką na mankiecie.

– A więc zgodzisz się na wystawienie mojej sztuki weselnej? – spytała, gorliwie pocierając palcem plamkę. – Uszczęśliwisz mnie tym cudownym prezentem, z którym nic równać się nie może?

Hrabia chrząknął tylko, palce nadal wystukiwały swój rytm na rzeźbionym oparciu mahoniowego krzesła.

– Znamy swoje miejsce, milordzie – oświadczyła Kordelia, zniżając głos. – Nie będziemy wchodzić panu w paradę.

Była pewna, że hrabia wyrazi zgodę, lady Emma postarała się już o to, dlatego Kordelia mogła sobie teraz pozwolić na ton pojednawczy, niemal kojący.

– Przysięgam, milordzie, na grób samego Szekspira, że podczas naszego pobytu w domu milorda nie zginie ani jedna łyżeczka.

Nie uśmiechnął się. Ona też się nie uśmiechnęła.

– Jakież to uspakajające, panno Lyon!

Jakiż pan jest arogancki, milordzie! – pomyślała.

– Naturalnie, że ma to waszą lordowską mość uspokoić! I zapewniam, pan prawie nie zauważy naszej obecności, dopiero tego wieczoru, kiedy wystawimy wspaniałe przedstawienie. Kiedy pan wzniesie ręce ku niebiosom, pełen wdzięczności, że natchnęło pana tak wspaniałym pomysłem.

– Och, Ross, czyli ty podarujesz mi ten nie! zwykły prezent ślubny!

Emma pochyliła się nad bratem i ucałowała go w czoło.

– Mój kochany brat, najukochańszy! Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jestem teraz szczęśliwa?

– Mam nadzieję, że będziesz czuła to samo, kiedy kurtyna opadnie po raz ostatni.

Westchnął, siostra ponownie złożyła na jego czole pocałunek. Uniosła główkę, spoza złocistych loczków wyłoniła się znów twarz hrabiego. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Kordelię swymi brązowymi oczami, a spojrzenie hrabiego było osobliwie żałosne. Kordelia czuła, niestety, że rumieniec na jej policzkach pojawił się wcześniej, zanim zdążyła odwrócić twarz.

Ten lord jest naprawdę bardzo przystojny. Szkoda, że podczas negocjacji zachowywał się jak stary, nadęty bigot.

– Och, Ross, jestem przekonana, że to będzie cudowne przedstawienie – zapewniała gorączkowo Emma. – Na pewno nigdy o nim nie zapomnę.

Oczy hrabiego znów poszukały oczu Kordelii. Wyraz brązowych oczu można było zinterpretować tylko w jeden sposób. Wielkie wyzwanie.

– Podejrzewam, że ja też, Emmo. I niech Bóg ma nas w swojej opiece.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ross, wydając z siebie groźny pomruk, wydarł kartkę z kajetu, zwinął w kulkę i cisnął przez pokój do kominka. Nie była to pierwsza kartka, którą tego dnia spotkał tak nieszczęsny los. Piękny parkiet przed kominkiem w bibliotece zasłany był kulami, każda z nich stanowiła dowód bezowocnego wysiłku i jednej z beładnych myśli, od których kłębiło się w lordowskiej głowie.

Odsunął krzesło od biurka i podszedł do otwartych na oścież drzwi, prowadzących do ogrodu. Stał w drzwiach, ręce splótł z tyłu i stał tak przez chwilę, trapiony przez rozpacz największą. Przecież już tydzień po ślubie Emmy musi jechać do Londynu, aby zaprezentować swoje pierwsze wnioski na temat zależności między wiatrem a pływem w stałych prądach na Południowym Pacyfiku. A lordowie z admiralicji, ludzie chłodni i praktyczni, oczekują od niego faktów i nieomylnych odpowiedzi, które uzasadnią będą miejsce Rossa na pokładzie „Perseverance”. Wkrótce potem miał zaprezentować swoje prace w Królewskim Towarzystwie Naukowym, nie wspominając już o tym, że jego przyjaciele, ludzie poważni, uczeni, których poznał w kawiarni Slaughtera przy St. Martin’s Lane, również ciekawi byli jego wniosków.

Teraz, obłożony książkami, czasopismami naukowymi i stertą swoich notatek z podróży, wspierany też listami od przyjaciół i wielbicieli akademickich, siedział w zacisznym gabinecie, urządzonego tak, aby sprzyjał największej koncentracji, oferując jednocześnie jak najwięcej dziennego światła. W tym pokoju znajdowała się nawet specjalna długa ołowiana kadź wypełniona wodą. Na jednym z końców kadzi umieszczony był wielki miech do imitowania podmuchów wiatru podczas doświadczeń mających na celu zbadanie wpływu wiatru na fale. Niestety, ani kadź, ani miech tym razem nie sprzyjały koncentracji i Ross nie był w stanie sformułować ani jednego zdania wykraczającego ponad poziom wypocin głupiotkiej panienci z pensji dla dobrze urodzonych panien.

Jęknął i zaklął siarczyście, nie dbając, czy ktoś go usłyszy. Na Boga! Gdzie podziało się jego nadzwyczajne skupienie, którym tak się chlubił? Trzy lata spędził na morzu, pracując w kajucie tak małej, że wyciągnąwszy rękę w dowolnym kierunku, zawsze dotknął grodzi. Zewsząd dobiegały okrzyki marynarskiej braci, ciężkie kroki, huk fal i skrzypienie belek. Cała ta gama dźwięków nie przeszkadzała w niczym. Jak powiadają marynarze, Ross był zadowolony jak małż.

Do krośset! Dlaczego wtedy był taki twórczy i wydajny, a teraz nieś!

Pochmurna, niezadowolona twarz lorda stała się jeszcze bardziej mroczna, kiedy wzrok jego przemknął ponad ogrodem i spoczął na północnym skrzydle dworu. W tym skrzydle mieściła się sala balowa. No tak. I ta właśnie sala w chwili obecnej zaprzętała jego uwagę, nie pozwalając pomyśleć o czymś innym. Jakim cudem pozwolił tej zgrai podrzędnych komediantów nawiedzić

swój dom? Żadnego z nich jeszcze nie widział. Polecił służbie zająć się wszystkim, a aktorzy, zgodnie z umową, nie pokazywali mu się na oczy. Cóż z tego, skoro on doskonale wyczuwał ich obecność. I jak można dokonywać chłodnych kalkulacji i wyciągać logiczne wnioski, opierając się wyłącznie na faktach, skoro ma teraz pod swoim dachem ludzi, których całe życie polega na przebieraniu się i fikcji?

Nagle usłyszał głośny śmiech kobiety, dobiegający z otwartego okna. Śmiech tak frywolny niewątpliwie był to śmiech Kordelii Lyon, najbardziej impulsywnej i natarczywej istoty, jaką kiedykolwiek spotkał. Nic dziwnego, że urzekła jego małą siostrzyczkę. Emma nie powinna nigdy napotkać na swojej drodze tego rodzaju kobiety. Kobiety tak od siebie różnej, począwszy od powierzchowności. Niewysoka, rumiana, jasnowłosa lady Emma była uosobieniem słodkiej niewinności. Ciemnowłosa Kordelia Lyon przypominała zuchwałą amazonkę, przyzwyczajoną do skupiania na sobie męskich spojrzeń. Skupiła na sobie nawet jego spojrzenie – spojrzenie lorda Howlanda!

Bo i trudno było nie spojrzeć. Jej cera była nieskazitelna, miała odcień kości słoniowej, włosy miały barwę ciemnego mahoni, a oczy to był ten sam nieprawdopodobnie ciemny granat nieba po północy, jak u jej ojca. I tak jak u niego, były to oczy pełne ognia i błysków, oczy zwodnicze. Już w pierwszej chwili, kiedy podstępem wślizgnęła się do pokoju śniadaniowego wczorajszego ranka, Ross wiedział, że to nie dama przysłała. I wcale nie chodziło tu o ten dość osobliwy, tandetny płaszcz ze srebrzystym szamerunkiem. Ta kobieta bardziej przypominała jakąś wróżkę, czy królową elfów, bo angielską damę na pewno nie.

Z otwartego okna dobiegł znów śmiech, tym razem słodki i dziewczęcy. To Emma się śmiała. A cóż ona tam właściwie robi wśród tych ludzi? Wystarczy już, że sala balowa zmieniła się w salę prób. Lady Emma stanowczo nie powinna teraz w tej sali przebywać, ucząc się od tych ludzi wszelkiego rodzaju nikczemności.

Wyszedł na dwór i zdecydowanym krokiem przemierzył ogród najkrótszą drogą wiodącą do północnego skrzydła. Wczoraj Kordelia Lyon zaskoczyła go, powołując się na rodzaj jakiejś umowy, którą on jakoby zawarł z jej ojcem w gospodzie Tawny Buck. Ale co za dużo, to niezdrowo. Drugi raz Ross nie da się skołować. Jego głowa była jasna jak kryształ. Powinien był dziś po południu całej tej hałastrze kazać się spakować do tego ich cygańskiego wozu i odjechać, zanim spowodują w domu jeszcze większe zamieszanie.

Mamrocząc pod nosem z wielkiego oburzenia, pokonał schody prowadzące do sali balowej i energicznie otworzył drzwi. Ku jego zaskoczeniu, wielka sala była prawie pusta, kryształowe żyrandole i kandelabry nadal owinięte w zakurzone płótno, małe, białe krzeselka zsunięte w kąt.

I zamiast tłumku kłębiących się, jazgoczących aktorów Ross dostrzegł tylko w najdalszym końcu sali dwie osoby – swoją siostrę i Kordelię Lyon. Siedziały na dwóch fotelach, ustawionych obok siebie. Obie siedziały bardzo

wygodnie, z podwiniętymi nogami, dwie pary pantofelków były niedbale rzucone na podłogę.

– Ross! – Emma zsunęła się ze swego fotela, nogi w samych pończochach zatupotały po posadzce. – Nie uwierzysz, jakie postępy zrobiliśmy razem z Kordelią w pracy nad naszą sztuką!

– Miło mi usłyszeć, że przynajmniej jedno z nas coś osiągnęło tego ranka – rzucił i posepny wzrok przeniósł z twarzy Emmy na jej nieobute nogi. – Dlaczego zdjęłaś trzewiki? Chyba nie jesteśmy na Tahiti, prawda?

Emma pacnęła go lekko po ramieniu.

– Och, Ross, nie bądź taki staroświecki. Gdybyś na Tahiti zakosztował trochę przyjemności, jak to robią wszyscy marynarze, a nie był zajęty tylko swoją pracą, w ogóle nie zwróciłbyś uwagi na moje nogi.

– A któż to ci opowiadał o Tahiti, Emmo? Kiedy siostrzyczka wyjdzie za mąż, Ross będzie za nią tęsknił, to oczywiste, ale trzeba też szczerze przyznać, że poczuje ulgę, iż odpowiedzialność za słodką istotę przejmuje na swe barki sir Weldon.

– To nie jest stosowny temat do rozmowy dla młodej damy. I co ty możesz wiedzieć o życiu marynarzy?

– A słyszałam to i owo! – Emma wzruszyła ramionami, nie przyznając się właściwie do niczego. – Każdy wie. A młode damy nie są z reguły głuche, mój drogi. Ale posłuchaj lepiej, co ja i Kordelia...

– Kordelia? – Ross rzucił szybkie spojrzenie na pannę Lyon. Była teraz poważna i skupiona, zapisywała coś pilnie na białej kartce, jak jakaś guwernantka, i ściszył głos. – Emmo, nie pozwalaj sobie na zbytne poufałości...

Emma wzniosła dramatycznie oczy ku bieli sufitu.

– Ross, proszę! Może mam do Kordelii mówić „królowo Sabo”? Nic złego się nie stanie, jeśli będę z nią po imieniu. A teraz chodź, posłuchaj, co Kordelia napisała.

– Ona pisze? Dlaczego ona?

Ross znów rzucił ukradkowe spojrzenie na Kordelię. Taka mała obserwacja, bardziej studium naukowe, jakby to była jakaś rzadka jaszczurka albo drzewo palmowe.

Zauważył, że panna Lyon ma na sobie białą muślinową suknię, bardzo podobną do sukni Emmy, z tym, że suknia panny Lyon obszyta była u dołu na modłę grecką szeroką lamówką, czerwono-czarno-złocistą. Ciemno-kasztanowate włosy panny Lyon zwinięte były nad karkiem w luźny kok, nad czołem i koło policzków wiło się mnóstwo pasm, które nie dały się ujarzmić. Dzisiaj Rossowi panna Lyon nie kojarzyła się z jakąś cygańską królową, raczej ze starożytną wieszczką, Sybillą, pochyloną nad jedną z dziewięciu ksiąg swoich przepowiedni. Zazdrościł jej skupienia, jeśli nawet to, co wychodziło spod pióra tej Sybilli, były to zwykłe brednie.

Chrząknął, z nadzieją, że on rzeczywiście na Kordelię się nie gapił, tylko obserwował chłodnym okiem człeka uczonego.

- Emmo? Sądziłem, że to pan Lyon jest dramaturgiem.
- Jest – potwierdziła Emma. – I to bardzo cenionym.
- To dlaczego go tu nie ma? Taka była przecież nasza, hm... umowa.

Alfred Lyon również nie wspomniał jeszcze o wysokości gaży. I Bóg jeden wie, ile cała ta zabawa kosztować będzie lorda Howlanda.

- Emmo, dlaczego to ona pisze tę sztukę?

– Bo to jest sztuka weselna, mój drogi! Moja sztuka weselna. Kordelia zamierza w niej umieścić jak najwięcej zdarzeń prawdziwych z tego okresu, kiedy Weldon zalecał się do mnie. I pomyślała sobie, bardzo słusznie zresztą, że mnie łatwiej będzie rozmawiać z nią, niż z jej ojcem. Pojmujesz, Ross, takie porozumienie kobiecych dusz. Kordelia tak to ujęła.

Ross miał inne zdanie na ten temat. Prawdopodobnie stary Lyon tego ranka jeszcze nie wytrzeźwiał i córka musiała go zastąpić.

– Chodź, Ross, proszę, i posłuchaj, co Kordelia już napisała. – Emma wzięła go pod ramię i zrobiła te same słodziutki, błagalne oczy, za pomocą których niemal od kołyski manipulowała starszym bratem. – Proszę, Ross. Zjeździłeś cały świat wzdłuż i wszerz, co to dla ciebie te parę kroków.

- Pociągnęła go za sobą, prawiąc mu dalej po cichu:

– Proszę jeszcze o coś, Ross. Wiem, że panna Lyon nie jest tak interesująca jak twoje stare zakurzone eksponaty, ale jeśli się do niej uśmiechniesz, na pewno od tego nie umrzesz, zaręczam.

- Witam, milordzie!

Kordelia wstała z fotela i złożyła przed Rossem ukłon należny samej Jego Królewskiej Mości. Wszystko zresztą, co dotychczas robiła Kordelia, było grubo przesadzone i Ross podejrzewał, że panna Lyon po prostu sobie z niego kpi.

– Witam, panno Lyon! – Jego ukłon był w tym samym stopniu sztywny i niezręczny, co jej ukłon wdzięczny. – Siostra moja powiedziała mi, że to pani pisze sztukę.

– Tak, milordzie. Lady Emma ofiarowała mi swoją pomoc przy tworzeniu. Nikt inny nie może mnie bardziej inspirować.

Lekko się uśmiechnęła, Ross jednak nie był w stanie odwzajemnić tego uśmiechu. Słońce, wpadające przez wysokie okna, oświetlało twarz panny Lyon. Był zdumiony, że na tej twarzy nie ma śladu pudru ani szminki, które przecież powinny zdobić twarz aktorki. Panna Lyon była młodsza niż przypuszczał, niewiele starsza od Emmy. Jej cera była gładka, świeża, jakby panna Lyon także mieszkała na wsi, a nie w podejrzanych londyńskich teatrzykach, gdzie czuć wilgocia. Zdarzyło mu się już kilka razy być w takich miejscach. Ross chrząknął.

– Ja... no tak... spodziewałem się, że to pani ojciec napisze tę sztukę. Sądziłem, że to on jest waszym dramaturgiem.

Uśmiech Kordelii wydawał się teraz zawierać więcej determinacji, a mniej czaru.

– Gdyby chodziło o klasyczny dramat czy wielką tragedię, niewątpliwie za pióro chwyciłby mój ojciec. Ale ta sztuka ma być radosna i wdzięczna, dlatego ja jestem preferowaną autorką.

– A czy pani nie jest jeszcze zbyt młoda, żeby brać na siebie taką odpowiedzialność – spytał Ross. – Słyszałem o kilku damach, pisujących sztuki teatralne, ale one wszystkie są, jakby to określić, bardziej posunięte w latach, bardziej doświadczone niż pani.

– Talent nie zna wieku ani płci, milordzie – oświadczyła panna Lyon, a w każdym jej słowie słychać było żelazną pewność. – Zaręczam panu, że nie zostanie pan ani oszukany, ani okradziony.

– Wcale nie miałem tego na myśli, panno Lyon – powiedział Ross, choć wiadomo, że między innymi tę myśl ukrył w swoich słowach. – Ja tylko dla mojej siostry chcę tego, co najlepsze.

– Ja również, milordzie.

Do krośset! Jak ona to robi, że wygląda tak spokojnie, a jednocześnie cała jest wyzwaniem?

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. – Małe palce Emmy jak imadło zacisnęły się na jego ramieniu. – Bardzo dobrze.

Kordelia spuściła wzrok, patrzyła na swoje notatki.

– Ponieważ nie chcę zranić wrażliwości pańskiej siostry, milordzie, sztuka pomyślana jest jako alegoria, główni bohaterowie, lady Emma i sir Weldon, będą nosić inne imiona niż w rzeczywistości. A tytuł sztuki, moim zdaniem, znakomicie oddaje myśl przewodnią. Sztuka będzie miała tytuł „Triumf miłości”.

– Czy to nie cudowne? – Emma aż westchnęła z zachwytem. – Mój własny triumf! „Triumf miłości”! Naszej miłości!

– Najpierw będzie prolog – ciągnęła Kordelia. – Rozmowa między Wenus a Hymenem, podczas której przedstawieni zostaną państwo młodzi. A dalej, w kolejnych scenach, zawarta będzie historia ich miłości, oparta na prawdziwych zdarzeniach. Pan sam raczył mi wspomnieć, że woli opierać się na faktach.

Emma skwapliwie przytaknęła głową.

– Tak, tak, na faktach... Akcja sztuki powinna rozpocząć się, kiedy ja i Weldon byliśmy jeszcze małymi dziećmi. Ale ponieważ w trupie pana Lyona nie ma żadnych dzieci, akcja rozpoczyna się później, kiedy Weldon i ja jesteśmy już nieco starsi...

– Od przyjęcia w wieczór poprzedzający Święto Trzech Króli – odezwała się znów Kordelia. – Przyjęcie wydane było tu, w Howland Hall. Lady Emmie po raz pierwszy pozwolono zejść na dół do gości i wtedy właśnie sir Weldon po raz pierwszy poprosił ją do tańca.

– Czyli był to koniec świąt Bożego Narodzenia, zima, i dlatego ten początek przedstawienia nie wydaje mi się najszcześniejszy. Mamy pełnię wiosny, niedługo przyjdzie lato... – Ross aż potrząsał głową, jako że zupełnie tego nie pojmował. – Po co przedstawiać zdarzenia tak bardzo odbiegające od

pory roku, podczas której moja siostra wychodzi za mąż?

– Bo to jest tylko rozrywka, milordzie – wyjaśniła Kordelia spokojnie, wykazując się anielską cierpliwością. – Miesiące wcale nie muszą się zgadzać. Nie trzeba przesadzać. Kiedy w Anglii wystawia się dramat o Juliuszu Cezarze, nie przenosi się miejsca akcji z Rzymu do Londynu.

– To nie to samo, panno Lyon! Moja siostra i Juliusz Cezar? Nie widzę najmniejszego podobieństwa. – Ross machnął ręką, jakby kategorycznie odpędzając od siebie i podobieństwo, i jakąkolwiek scenę z tym związaną. – Trzeba wymyślić inny początek.

Emma wydała z siebie pisk protestu.

– Och, Ross, nie bądź taki niemądry. Przecież to nie rozprawa naukowa, gdzie wszystko musi być takie okropnie dokładne! To sztuka teatralna, dla rozrywki.

Ross poklepał ją po rękę.

– Nie jestem niemądry, Emmo. Chcę dla ciebie jak najlepiej, a to oznacza również, że sztuka musi mieć jakiś sens.

– A więc dobrze, milordzie. – Kordelia energicznie pociągnęła piórem w poprzek strony, przyskając atramentem. – Wykreśliłam tę scenę. Może więc damy na początek scenę z pierwszego majowego dnia?

Ross zastanowił się przez moment.

– Chyba byłaby lepsza... Ale pierwszego maja? Ten dzień nadal związany jest z pogańskimi obyczajami. Apoteoza wiosny, płodności i tak dalej... nie wiem, czy to stosowne na ślub młodziutkiej damy...

– Pańskie zamiłowania naukowe każą panu tak spoglądać na ten dzień, milordzie – napięcie w głosie Kordelii wzrosło o niewielki ułamek. – A ja jestem pewna, że publiczność będzie widziała tylko niewinność sir Weldona, koronującego lady Emmę wieńcem z kwiatów, które zebrał własnoręcznie.

– Ale Emmy wcale nie wybrano na Majową Królową – zaprotestował Ross. – Zawsze wybiera się córkę jakiegoś dzierzawcy, a nie damę.

Kordelia nie uniosła wcale głowy, tylko jej wzrok powędrował ku górze.

– W sztuce wcale nie będzie powiedziane, że lady Emma została wybrana Majową Królową, milordzie.

– Ale sugestia jest zbyt wyraźna. Dlatego w imię prawdy ta scena powinna być usunięta.

Twarz Kordelii stężała, dłoń trzymająca pióro na chwilę zawisła w powietrzu, po czym opadła i Kordelia wykreśliła kolejną scenę. Nie spieszyła się z tym, powoli przeciągając pióro, aby upewnić się, że Ross pojmie, jak wielkiego spustoszenia dokonano na jego polecenie.

– Jak pan sobie życzy, milordzie. Tej sceny też nie będzie. Ale trzeba przyznać, że zamierza pan zaserwować swoim gościom dość przykrótką rozrywkę.

– Długość sztuki nie ma znaczenia, najważniejsze, żeby gościom się podobała.

– Och, Ross! – jęknęła Emma. – Jesteś po prostu okropny! Z mojego „Triumfu” prawie nic nie zostanie!

Ross chrząknął.

– Nie przesadzaj, Emmo. Jeśli panna Lyon naprawdę jest autorką sztuk teatralnych, przyzwyczajona jest do zmian i poprawek w swoich dziełach.

Błyskawice w oczach Kordelii świadczyły aż nadto dobitnie, że tak do końca nie jest przypadkiem tego rodzaju.

– Przynajmniej zachowana została moja ulubiona scena. – Emma załośnie sięknęła nosem. – Pamiętasz, jak nałożyłam czepeczek i fartuszek pokojówki, żeby spotkać się z Weldonem podczas dożynkowych tańców?

– Naturalnie, że pamiętam, Emmo.

Nie było go wtedy w Howland Hall, pojechał do Cambridge na sympozjum na temat natury błyskawic. Po jego powrocie nie brakowało jednak chętnych do przekazania każdego szczegółu skandalicznego zachowania Emmy.

Siostrzyczka wzruszyła ramionami i pojednawczo pogładziła go po rękawie.

– Byłeś wtedy na mnie bardzo zagniewany, Ross, i dlatego wysłałeś mnie na tę nudną pensję. Ale ja niczego nie żałowałam, bo Weldon podczas tych tańców po raz pierwszy mnie pocałował.

– Co?!

Ross błyskawicznie przeprowadził kalkulację. Jego siostra pozwoliła pocałować się Weldonowi, kiedy miała lat czternaście.

– Na litość boską, Emmo! Chyba nie masz zamiaru ujawniać tego szaleństwa przed szeroką publicznością!

– Pierwszy pocałunek ukochanego to nie jest szaleństwo, milordzie – oświadczyła Kordelia. – To oznaka uwielbienia i szacunku. A poza tym pocałunek doda wiele uczucia scenie, którą już napisałam.

– W takim razie powinna ją pani napisać jeszcze raz i inaczej, panno Lyon – zdecydował Ross głosem bardzo surowym. – Bo i jakże ma pani zamiar dostarczyć naszym gościom stosownej rozrywki, skoro pannie młodej przyniesie ona tylko wstyd i wystawi ją na pośmiewisko?

Kordelia znów zamilkła na moment, bez zmrużenia oka wytrzymując spojrzenie Rossa. Trwało to wystarczająco długo, żeby Ross mógł dojrzeć w ciemnych oczach panny Lyon punkciki szare i srebrzyste, jak malutkie gwiazdki na niebie o północy. Sam sobie więc polecił odwrócić wzrok, skończyło się jednak na tym, że w oczy, owszem, już nie patrzył, ale gapił się – nie, nie, obserwował – czerwone pełne usta. A te usta teraz powiedziały:

– Mogę ten pocałunek przesunąć na później. A sztukę zaczniemy od czegoś mniej... wzburzającego, milordzie.

– Dziękuję, panno Lyon.

Skinął głową, zmuszając się do spojrzenia gdzieś na lewo od twarzy panny Lyon, żeby ustrzec się przed dalszymi... obserwacjami jej osoby.

– Drobiazg, milordzie – odparła cierpkim głosem panna Lyon. – Znajdę

jakaś inną scenę. O ile, oczywiście, taka scena istnieje.

– Ale ja chcę, żeby pocałunek był na samym początku, Ross! – krzyknęła Emma. – To był cudowny pocałunek i to będzie cudowny początek sztuki!

Ross zamknął oczy na moment, po prostu żeby nie stracić panowania nad sobą. Jego życie na pokładzie „Perseverance” było uporządkowane, zorganizowane z męską precyzją. Tu jednak, w Howland Hall, było inaczej. Tu były kobiety i tu nie było porządku.

– Emmo – zaczął, starając się w tym momencie do złudzenia przypominać kapitana Williamsa, cieszącego się ogromnym autorytetem. – Jesteś damą, córką i siostrą hrabiego, angielskiego para.

Musisz zrozumieć, że taka scena byłaby wysoce niestosowna.

– Milordzie, proszę nie zapominać, że główna bohaterka, choć uosabia lady Emmę, to przecież nie jest lady Emma! – odezwała się Kordelia głosem, w którym słychać było gniew. – Czy pan nie jest w stanie tego oddzielić? A poza tym, milordzie, któż niby ma być tak zszokowany widokiem młodej kobiety, nawet damy, całującej się z dżentelmenem, za którego ma zamiar wyjść za mąż? Milady? Czy tak nie jest?

– Wolałbym, żeby pani nie udzielała lady Emmie żadnych rad, panno Lyon – oświadczył Ross. – Wrażliwa młoda dama, jaką jest moja siostra, nie musi wysłuchiwać pani pokretnych poglądów na moralność i cnotę.

Kordelia aż westchnęła, jej oczy z oburzenia zrobiły się zupełnie okrągłe.

– Pan nie ma najmniejszego pojęcia o moich poglądach na moralność i cnotę, chociaż ja mam sposobność doskonale poznać pańskie!

Tym razem, aby nie stracić panowania, Ross kilkakrotnie założył ręce za plecami, rozłączył, znów złożył. Musiał pozostać spokojny, rozsądny. I nie wolno mu zapominać, kim jest i nie zniżyć się do poziomu panny Lyon za żadną cenę!

– Pani jest aktorką, panno Lyon – powiedział. – I z tego to powodu pozwałam sobie zasugerować, aby pani, zamiast udzielać mojej siostrze rad w kwestii... pocałunków, niech pani ograniczy się do grania, pisania sztuk i tak dalej.

– Ale to nie są żadne rady Kordelii, Ross. To jest fakt! – Loki wzburzonej Emmy trzęsły się wokół jej policzków. – Całowałam się z Weldonem tak często, że nawet nie potrafię sobie przypomnieć, ile razy. Wątpię, czy w całym hrabstwie znajdziesz choć jedną osobę, która nie widziała nas razem, mnie i Weldona.

– Ja nie widziałem – powiedział głuchym głosem Ross. – Ale to nie zmienia faktu, że to jest...

– Nikczemny wpływ aktorki! – Kordelia zdecydowanym ruchem zwinęła swoje papiery w rulon.

– Dlaczego nie powie pan tego głośno i nie skończy tego, co pan zaczął?

– Niczego nie muszę mówić, panno Lyon! – Dlaczego, u diabła, ona tak przekręca jego słowa, żeby skierować je przeciwko niemu? – Cały świat wie, że

aktorzy i aktorki mają swoją hm... własną wersję moralności.

– Tak jakby reszta świata jej nie miała! – Panna Lyon przytuliła biały rulon do piersi, jej głowa uniesiona była dumnie, głos był wysoki, dźwięczny, docierający do najdalszych zakątków sali balowej.

– Ponieważ pan, milordzie, w moralności i cnocie jest o niebo bardziej wyedukowany niż ja, pozwałam sobie zasugerować, że może pan sam napisze sztukę dla swojej siostry i odegra w niej wszystkie role.

Odwróciła się, jej plecy były proste jak struna. Obcasiki pantofli panny Lyon zastukały o wywoskowaną posadzkę.

– Ross, Ross! Coś ty narobił! – zajęczała Emma.

– Obraziłeś Kordelię, zmusiłeś, żeby sobie poszła i ja nigdy, przenigdy nie będę miała mojej weselnej sztuki. Zepsułeś wszystko!

– Cicho, Emmo. Ona wróci – powiedział Ross, choć wcale nie był tego pewien. – I wcale jej nie obraziłem. Powiedziałem tylko prawdę, a ona dała się ponieść temperamentowi w wypowiedaniu swoich sądów.

– Nie! Nie! – Emma aż siąknęła nosem z wielkiego oburzenia. – Powiedziałeś jej, że nie zna się na moralności ani na... na cnotach!

– Powiedziałem tylko to, co mówi się powszechnie o aktorach, nie kierując tego konkretnie pod jej adresem.

Ale Ross dostatecznie respektował prawdę, aby zdać sobie sprawę, że jego wypowiedź zmierzała właśnie w tym kierunku, i on się teraz z tego wycofuje. Westchnął z rozpaczą, wpatrzony w oddalającą się smukłą postać panny Lyon. Do tej sali balowej wszedł z zamiarem wyproszenia komediantów ze swego domu. A teraz, aby w tym domu zachować spokój, powinien paść na kolana przed panną Lyon i błagać ją, by pozostała.

– Panno Lyon! – zawołał. – Panno Lyon, proszę poczekać!

Zatrzymała się, odwróciła i ponownie zaserwowała mu jeden ze swoich najlepszych ukłonów.

– Proszę wybaczyć, milordzie. Żegnam pana. Ostatnie słowo należało do niej. Zaszumiały spódnice, panna Lyon wyszła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– A więc mamy stąd wyjechać, zanim jeszcze cokolwiek zaczęliśmy, Kordelio?

Gwen, jedna z aktorek, już nieco posunięta w latach, stała oparta o framugę drzwi do pokoju Kordelii i nerwowo nawijała na palec jeden ze swoich loków koloru mosiądzu.

– Czy to prawda? Zanim będę miała szansę zagrać Afrodytę?! Mówiłaś, że tę rolę napisałaś specjalnie dla mnie!

– Niestety, Gwen. Musimy jak najszybciej opuścić Howland Hall.

Kordelia podniosła rzeźbione wieko swojego kufra i zaczęła wrzucać doń swoje rzeczy.

– Nawet twoja Afrodyta nic tu nie pomoże.

– A więc tak powiadasz... – Gwen syknęła, wielce niezadowolona, i odrzuciła loki do tyłu. – W takim razie posłuchaj! Może ty nie dbasz o wygody, ale ja wcale nie jestem skłonna opuszczać tak cudownego lokum, żeby znów spać gdzieś w szczerym polu!

– W takim razie posłuchaj mojej rady. Im szybciej się spakujesz, Gwen, tym mniej będziesz miała czasu na żale. Idź już! Pośpiesz się!

Gwen prychnęła ze złością i odepchnęła się od drewnianej framugi.

– Pewnie, że tu nie zostanę, skoro jesteś zła jak osa!

Kordelia nie odpowiedziała i wkrótce usłyszała postukiwanie mulec* [*

Damskie jedwabne pantofelki typu klapki, noszone po domu. Bez pięt, podeszwy drewniane, na niewysokich obcasikach.] Gwen na schodach. Też jej było bardzo przykro opuszczać malutką, przytulną sypialnię w domku przy bramie wjazdowej, ale nie zniósłaby już ani jednej nocy pod dachem hrabiego Mayne. I nie miała wyboru. Bo nawet jeśli nie ma w kieszeni złamanego szeląga, to coś jeszcze ma. Swoją dumę.

Nagle z korytarza dobiegły czyjeś kroki. Niewątpliwie ktoś z trupy spieszył się dowiedzieć, czy hiobowa wieść, przekazana przez Gwen, jest wieścią prawdziwą. A Kordelia naprawdę nie była w nastroju do dalszych dyskusji. Niestety, znów nie miała wyboru.

– Córeczko moja miła! – rozległ się tuż za nią głos Alfreda Lyona, do przesady pogodny. – A jakichże to ja opowieści nasłuchałem się na dole!

Kordelia spojrzała na niego przez ramię i zrobiła znaczącą minę.

– Gwen nie mogła się oprzeć?

– Ona nigdy nie może. A ty powiedz mi teraz całą prawdę. Co zdarzyło się dzisiaj we dworze? Jakiegoż to rodzaju chmury gromadzą się nad naszymi głowami? – Przywiał je wiatr, który wydobywa się z ust pewnego świętoszka. – Kordelia zwinęła parę pończoch w kulkę i cisnęła je do kufra. – Po prostu wychodzi na to, że jednak nie będziemy grać w Howland Hall.

– Aha. Alfred przysiadł na łóżku, opierając się łokciem o brzeg wielkiego kufra. Wracał z przechadzki. Chodził sobie, na wpół senny, po sadzie

jabłkowym. A że ubrany był w strój konwencjonalny, koszulę i obciste spodnie, swoje długie siwe włosy splótł w warkocz, za uszy wetknął blad różowe kwiecie jabłoni, wyglądał więc jak jakiś żeglarz starożytny, rozkoszujący się wolną chwilą na nieznanym łądzie.

– Jego lordowska mość zmienił zdanie?

– To i tak by się nie udało, ojczy. Przykro mi, że lady Emma przeżyje gorzkie rozczarowanie, to taka miła dziewczyna, ale jej świętoszkowaty brat, zwykły dureń, uniemożliwia nam wystawienie przedstawienia.

– Aha... – mruknął znów Alfred i wyciągnawszy z za ucha jedną z małych gałązek, zaczął kreślić nią w powietrzu leniwe kółka. – Kordelio, ty wiesz, jaki byłem zadowolony, że włączyłaś się w prowadzenie interesów naszej trupy. To jest takie nużące! Instalowanie w hotelach, rachunki, podatki.

Nie na moją siwą głowę. Tym niemniej twoja decyzja zadziwia mnie. Ponoć wyjeżdżamy stąd, no dobrze, ale powiedz ty mi, czy my mamy na widoku jakiś inny angaż? Zawarłaś jakieś inne umowy, o których moja stara głowa miała prawo zapomnieć?

Kordelia wzięła głęboki oddech. Trupa była zaangażowana na dwa tygodnie do teatru, nawet niedaleko Howland Hall. Niestety, tydzień temu teatr ów spłonął doszczętnie. I dlatego owa sztuka weselna wydawała się gwiazdką, która spadła z nieba – Niestety, dziś ta gwiazdka zgasła.

– Dobrze wiesz, ojczy, że następny angaż to Bath, dopiero w końcu miesiąca.

– I o tym właśnie sobie pomyślałem – Alfred skinął głową. – I z czego ty masz zamiar utrzymać naszą małą rodzinę do tego czasu? Masz jakiś ukryty skarb w zanadrzu, złoto albo srebro, którym będzie można za wszystko zapłacić?

Kordelia, zdenerwowana, drżącą ręką przeczesła swoje włosy.

– Jestem pewna, ojczy, że coś się znajdzie – powiedziała. – Jeszcze przed końcem miesiąca, zanim pojedziemy do Bath. Zawsze nam się przecież udawało.

– I tym razem też się uda, Kordelio. – Ojciec posłał córce uśmiech ponad kwiatem. – Bo hrabia Mayne wcale mi nie wygląda ani na świętoszka, ani na głupca. Szczerze mówiąc, on bardzo przypomina mi ciebie, Kordelio.

Kordelia aż westchnęła.

– Mnie, ojczy? Ależ to niemożliwe!

– Możliwe. – Alfred wskazał na nią kwiatem. – Ten hrabia też jest całkiem niebrzydki, i tak samo nieświadomy tego jak ty.

– Och, przestań, ojczy! – Był to temat już oklepany i Kordelia nie miała ochoty go podejmować. – Przyznaję, że jest on bardzo przystojny, ale to nie ma nic wspólnego z...

– Co powiedziałaś? – Nie wierzę własnym uszom! Pozwól, abym choć przez moment mógł rozkoszować się tą cudowną chwilą radości, dziękując za to samej bogini Wenus!

Alfred westchnął głęboko, złożył ręce na sercu, głowę odchylił, siwy warkocz spłynął niżej po jego plecach.

– O dzięki ci, bogini miłości! W końcu moja córka zauważyła, że któryś z dżentelmenów raczy być przystojny. A to oznacza, że córka moja jest również istotą śmiertelną, targaną namiętnościami, a nie piękną rzeźbą wykutą w lodzie! Och! Gdybyż tylko on był aktorem wędrownym, tak jak my. Adeptem sztuki dramatycznej...

– Przestań, ojcze, przestań! Kordelia odwróciła się i zajęła składaniem halki, żeby ojciec nie dojrzał rumieńca na jej twarzy. Ojciec przesadzał, jak zwykle. Bo to wcale nie było tak, jakby ona nie zauważała przystojnych dżentelmenów albo też zamierzała zostać zgorzkniałą starą panną. Chciała tego samego, co każda panna w jej wieku. Zakochać się, wyjść za męża, mieć męża i dom, i dzieci, które ten dom wypełniłyby radosnym śmiechem. Dzisiaj, kiedy słuchała zwierzeń lady Emmy, zatęskniła za tym wszystkim jeszcze bardziej.

Ale jej życie było inne niż życie zwyczajnej panny w jej wieku, a już na pewno niepodobne do życia lady Emmy. Aktorki wędrowne zwykle nie wychodziły szczęśliwie za męża. Bo i jak, skoro w jednej miejscowości nie zatrzymywano się dłużej niż miesiąc? A romanse między aktorkami i aktorami były namiętne, ale krótkie. Zaczynało się od żądy, serca w tym zawsze było niewiele, i kończyło się na ogół burzliwym rozstaniem.

Gdziekolwiek Kordelia spojrzała, tam widziała same smutne przykłady zaprzepaszczonego uczucia. Jedynymi kobietami, które ryzykowały wszystkim w imię miłości i zdobywały trwałe szczęście, były postacie ze sztuk, w które Kordelia wcielała się na scenie. Aktorka co najwyżej mogła znaleźć sobie bogatego dżentelmena, który będzie ją utrzymywał, jako swoją metresę. Nawet rodzice Kordelii nie zawracali sobie głowy małżeństwem, o swojej matce Kordelia miała bardzo mgliste wspomnienie, matka uczestniczyła w jej życiu bardzo krótko. Tylko do chwili, gdy porzuciła Alfreda dla francuskiego markiza, który wywiózł ją na kontynent. Nic dziwnego, że zarzuty hrabiego o pokrętej moralności aktorów tak bardzo zraniły Kordelię. Były zbyt bliskie prawdy.

Alfred chrząknął.

– Nie miałem zamiaru denerwować cię, Kordelio – powiedział, wyraźnie skruszony. – To był tylko żart i nie najlepszy, przyznaję. A ja chcę tylko twojego szczęścia, Kordelio. Twojego szczęścia z młodzieńcem koniecznie z naszego kręgu, młodzieńcem, który by do nas pasował. Marzę o tym, żebyś ty, moje dziecko, przeżyła radość rozpierającą serce, uniesienie prowadzące do ekstazy, żebyś szalała ze szczęścia, jednym słowem przeżyła to, co my, zwykli śmiertelnicy, zwykliśmy nazywać miłością.

– Miłość nie zawsze oznacza radość i szczęście, ojcze. Z tego, co widzę dookoła, mnóstwo jest nieszczęścia i rozpacz.

Alfred cmoknął z dezaprobatą.

– Och, droga Kordelio, jesteś zbyt młoda, żeby być tak cyniczna. Pewnego dnia znajdziesz mężczyznę, który pokocha cię tak, jak na to

zasługujesz. I wtedy pojmiesz, że twój stary ojciec miał rację.

To również był oklepany temat, dlatego Kordelia tylko westchnęła.

– Ojcze, ale ja nie jestem taka jak hrabia, prawda?

– Jesteś, moja droga. Macie wiele wspólnego i sądziłem, że podczas naszego pobytu tutaj będziecie zadowoleni ze swojego towarzystwa. Jego lordowska mość to człowiek bardzo mądry, a ponadto bardziej dba o szczęście siostry niż o swoje własne. I takie nastawienie bardzo mi przypomina ciebie, córeczko.

– Ale on, ojcze, jest również pompatyczny i arogancki, i zarozumiały, upaja się swoim własnym wysokim mniemaniem o sobie – oświadczyła Kordelia, odwracając się ku ojcu. – Ilość przyjemności, jaką można by czerpać z jego towarzystwa, to tyle co jedna cieniusieńka nóżka komara.

– Niewiele, w istocie. – Alfred znów spojrzał na kwiat jabłoni. – Więc jeśli nie znajdujesz żadnej przyjemności w jego towarzystwie i nie ma między wami nic, co wprawiałoby cię w zakłopotanie, żadnego niebezpiecznego wzajemnego przyciągania się, w takim razie nie będzie dla ciebie żadnym poświęceniem, jeśli wrócisz teraz do dworu i przeprosisz jego lordowska mość.

– Przepraszę?! – Kordelia z największym zdumieniem spojrzała na ojca. – Przepraszę, po tym wszystkim, co on mi powiedział?

– Tak. Będziesz prosić o wybaczenie, błagać, płakać, jęczeć, zawodzić. Możesz zastosować dowolną metodę, byleś tylko odzyskała jego przychylność i znowu będziemy mieli u niego angaż przez następne dwa tygodnie. Lepsze to, niż granie w miejscowym przytułku, gdzie naszą jedyną widownią będzie komornik.

– Grać w przytułku? Ależ, ojcze! Ja nigdy czegoś takiego nie robiłam!

– Naturalnie, złotko! Bo przedtem zawsze stawiałaś dobro naszej trupy na pierwszym miejscu. Dlatego tak cudownie dbałaś o nasze interesy.

– Ale teraz... teraz sytuacja jest inna. Przypomniała sobie, jak to było, kiedy po raz pierwszy zobaczyła hrabiego. Pomyślała tylko, że jest to arystokrata bardzo przystojny. Potem zorientowała się, że jest również inteligentny, w przeciwieństwie do większości arystokratów, w ogóle w przeciwieństwie do większości ludzi z każdej sfery. I może z tego to właśnie powodu tak bardzo jej się spodobał. Bo i skąd tak wielki jej gniew, gdy hrabia zarzucił jej, że jest tylko aktorką, do tego niemoralną, choć skąd on może wiedzieć, jak to jest w przypadku Kordelii? Była zła, ale przede wszystkim zraniona, bardzo zraniona, choć nigdy nikomu nie przyznałaby się do tego, nawet własnemu ojcu.

– Całkiem inna sytuacja, ojcze.

– Może i tak, Kordelio, ale ty zawsze czyniłaś to, co dla naszej trupy najlepsze i spodziewam się, że nie zmieniłaś nagle swoich obyczajów. Nigdy nie znałam aktorki o tak wielkim poczuciu honoru jak ty, a poza tym jesteś przecież moją córką.

– Honor? Daj spokój, ojcze...

Kordelia spojrzała na bladuróżowe płatki kwiecica jabłoni w palcach ojca. Naturalnie, że ojciec miał rację. Dobro trupy należy zawsze stawiać na pierwszym miejscu. Gdyby tak nie było, byłoby rzeczywiście zwykłą hołotą, cygańską hałastrą, czego pan hrabia nie omieszkał wytknąć.

Alfred delikatnie ujął ją za rękę i zmusił, żeby usiadła obok niego.

– Jeśli uznasz, że tak będzie lepiej, pójdę razem z tobą, córeczko. Może zacząć od podziękowań za nadzwyczajną gościnność jego lordowskiej mości i rozplątania się nad wspaniałym kucharzem w Howland Hall.

Kordelia, dziwiąc się sama, że jej gniew znikł nagle bez śladu, potrząsnęła głową i westchnęła. Teraz czuła się już tylko zmęczona i osobliwie smutna.

– Lepiej, jeśli pójdę tam sama, ojczu. Ja narobiłam kłopotów i sama powinnam wszystko naprawić.

– A nie mówiłem, że jesteś istotą nadzwyczaj honorową? – Uśmiechnął się, zaczesał jej włosy w tył i wsunął za jedno ucho kwiat jabłoni. – Duma lepiej smakuje, kiedy się ją przełknie, i nie ma to żadnych szkodliwych skutków dla żołądka.

– Kto to napisał, ojczu?

– Nie wiem... – Ojciec uniósł znacząco jedną z siwych brwi. – Ale myśl niezła, prawda? Może powinienem przypisać ją sobie?

– O ile znam ciebie, ojczu, na pewno już to uczyniłeś! – Kordelia uśmiechnęła się, wstała i poprawiła pachnącą gałązkę za uchem. – No cóż... Myślę, że tak jak udało mi się przekabacić pannę młodą, poradzę sobie też i z jej starszym bratem.

– Kto jak kto, Kordelio, ale ty uporasz się z tym na pewno! Dlatego ja nigdy nie wątpiłem w to, złotko, że jesteś moją rodzoną córką!

Cały pachnący sad rozbrzmiewał słodkim śpiewem słowików. Na granatowym niebie srebrzył się już księżyc na nowiu i rozbłyły migotliwe gwiazdy. A Ross nadal nie mógł się zdobyć na to, by przeprosić Kordelię Lyon.

Wiedział, że powinien to zrobić. Bo jeśli tego nie zrobi, Emma nie tylko dostanie straszliwej migreny, ale już nigdy nie odezwie się do niego ani słowem. Przysięgła to w liściku, który doręczyła mu pokojówka z wyjątkowo ponurą miną. Nie wierzył, że plamki na karteczce to ślady łez siostry, ale wierzył, że uparta Emma swojej przysięgi dotrzyma. Dlatego na liścik nie odpowiedział, ponieważ wiedział, że jedyną odpowiedzią, jaką zaakceptuje Emma, będzie wiadomość, że trupa wędrownych aktorów Alfreda Lyona wystawi w Howland Hall sztukę pod tytułem „Triumf miłości”.

Ross odsunął od siebie tacę ze śniadaniem, którego prawie nie tknął. Nienawidził jedzenia w samotności, a dodatkowo jedzenie tutaj, w bibliotece, przy biurku zawalonym książkami i notatkami, wydawało mu się czynnością nadzwyczaj niepociągającą.

Przeklęta sztuka weselna! Trzy dni temu Emma nie miała pojęcia, że coś takiego istnieje, a teraz jest przekonana, że ona i Weldon bez tej sztuki nie mogą

się pobrać.

Ross zaklął cicho, używając jednego z najbardziej soczystych, marynarskich przekleństw, jakich nauczył się na „Perseverance”. Jednak w jego ustach to przekleństwo zabrzmiało nieco osobliwie, a na duszy wcale nie zrobiło się źlej. A przyrzekł sobie, że przeprosi i odkładanie na później tych przeklętych przeprosin nie ma najmniejszego sensu. Powinien już teraz odszukać Kordelię Lyon. Dlatego, nie tracąc czasu na nakładanie kapelusza i płaszcza, ruszył szybkim krokiem do domku przy bramie wjazdowej.

Wieczór był pogodny, powietrze ciepłe. Nie wątpił, że Kordelia i reszta aktorów będą jeszcze na nogach, ci ludzie kładą się spać zwykle bardzo późno. Miał kłopot innego rodzaju, a mianowicie, nie wiedział, co powiedzieć. I maszerując na skrót przez ogrody, próbował sformułować sobie w duchu parę gładkich zdań, które trafią Kordelii do przekonania, a on nie będzie czuł się upokorzony. Całą sprawę załatwi zresztą krótko, z pewnością, nie będzie tam miejsca na żadne skrepowanie czy...

– Och, mój Boże!

Nagle ujrzał przed sobą Kordelię. Jakby ściągnął ją swoimi myślami. Stała przed nim, wśród rozkołysanych gałęzi jabłoni, oprószona białymi płatkami jak śniegiem. Jej suknia, która przedtem wydawała się mu tandetna, teraz wyglądała na elegancką i zwiewną, stosowną dla samej bogini światła księżycowego, Diany. Wokół ramion Kordelia udrapowała cienki szal z gazy, wyszywany czymś skrzącym się, jakby obsypanym gwiazdeczkami, co spadły z nieba...

Nagle poczuł się tak, jakby stał się trzeciorzędnym poetą, opiewającym w wyświechtanych słowach urodę bogini Diany. Potrząsnął głową z wielkim niesmakiem. Cóż to jest w tych Lyonach, że dzieją się z nim tak osobliwe rzeczy...

– Pan jest posępny, milordzie – powiedziała cicho Kordelia, opuszczając wzrok. Jej palce owinięte były końcami skrzącego się szala.

– Wiem, że zirytowałam pana tego ranka, ale...

– Nie, wcale nie, panno Lyon. – Ross chrząknął. No cóż, nadeszła chwila na wyduszenie z siebie słów przeprosin. – Bo ja, w rzeczy samej, szukałem pani. Chciałem porozmawiać o tej sztuce dla mojej siostry...

– Naprawdę?! – Kordelia przez moment wpatrywała się w niego bez słowa. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy zastąpił teraz smutek. – Och, mój Boże, czyli zjawiłam się za późno.

– Spóźniła się pani? – Powiedział to jak jakaś papuga. Do diabła! Dlaczego on się nigdy nie zastanawiał, co mówi się pięknej młodej dziewczynie, kiedy stoi się z nią pod rozgwieżdżonym niebem? – Zapewne zbliża się już dziewiąta, ale chyba jeszcze nie za późno na...

– Szłam do pana, żeby przeprosić, milordzie – powiedziała Kordelia nieco gwałtownie. – Chciałam powiedzieć, że przykro mi. Byłam pyszałkowata i niegrzeczna wobec pana. Nie uszanowałam pańskich życzeń i rozczarowałam

lady Emmę. Mam nadzieję, że pan mi przebaczy, milordzie, i nie odeśle nas. I że będziemy mogli wystawić tę sztukę. To właśnie chciałam powiedzieć.

– Pojmuję – wymamrotał, zdumiony bezgranicznie, że to panna Lyon go przeprosiła, i nawet się nie zająknęła. Zrobiła to pierwsza i jemu nie pozostaje nic innego, jak łaskawie jej wybaczyć i wszystko wróci do stanu poprzedniego. Ale taki bieg wypadków zadaje kłam uczciwości, a uczciwość była to zaleta, którą Ross bardzo sobie cenił, tym bardziej u aktorki z wędrowniej trupy teatralnej. Odchrząknął ponownie.

– Czyli to cudowny zbieg okoliczności, panno Lyon, ponieważ ja, hm... właśnie szedłem do pani, żeby panią przeprosić.

Oczy panny Lyon rozszerzyły się ze zdumienia.

– Pan? – Pan szedł do mnie, milordzie?

– Tak. – Skinął głową, wpatrzony w odbicie światła gwiazd w oczach panny Lyon. – Poczyniłem kilka nierozważnych założeń na temat pani... hm... moralności, co wytknęła mi zresztą moja siostra. I słusznie. Przecież ja o pani nic nie wiem, a nie wolno wyciągać wniosków, nie znając faktów. Dlatego proszę o wybaczenie, panno Lyon...

Panna Lyon potrząsnęła głową.

– Pan nie musi tego robić, milordzie. Pan jest hrabią.

– Jestem przede wszystkim człowiekiem, który szczeni się tym, że kieruje się głównie rozumem – oświadczył z wielką powagą. – Rozum nakazuje mi zignorować plotki i dojść do konkluzji, że jest pani osobą o nieskazitelnej cnotcie i skromności.

– Och! – Kordelia uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był nieco krzywy i nieco drżący. – Jest pan tak inteligentny, jak pomyślałam, gdy ujrzałam pana po raz pierwszy.

Ross milczał przez moment, nieco oszołomiony.

– Czy dlatego, że skorygowałem swoje poglądy i przeprosiłem panią?

– Przede wszystkim, że zrobił pan to tak... elokwentnie. – Kordelia westchnęła głęboko, jakby była teraz niepomniernie szczęśliwa. – A ja kocham piękne słowa, milordzie. Pod tym względem jestem tak samo żarłoczna, jak największy obzartuch podczas obfitej uczy. A pan, milordzie?

Jego oszołomienie trwało nadal, ale już zupełnie nie dbał o to.

– Uważam, że to wielka sztuka umieć dobrać odpowiednie słowo do wyrażenia swoich uczuć.

Kordelia znów westchnęła.

– Powiedziałam już panu, że jest pan inteligentny. I muszę panu coś wyznać. Jeszcze żaden dżentelmen nie powiedział mi słów równie obcesowych.

– Po prostu wykazali się większym rozsądkiem... Kordelia, przechyliwszy głowę, przez moment bacznie spoglądała na lorda.

– W świetle księżycy wygląda pan zupełnie inaczej!

Ona też. Zmilczał jednak, nie będąc pewnym, czy panna Lyon uzna to za komplement.

– Księżyc na nowiu niewiele daje światła, panno Lyon.

– Czyli to światło gwiazd, milordzie! – Nagle panna Lyon podrzuciła szal, który, jak iskrzący się łuk, na mgnienie oka zawisł w powietrzu. – Światło gwiazd rzuciło na ciebie swój magiczny czar i zmieniło cię na lepsze...

Uśmiechała się, uśmiechała się tak, że Ross musiał ten uśmiech odwzajemnić.

– Wasi dramaturdzy zawsze potrafią dobrać odpowiednie słowa?

Kordelia uśmiechnęła się znów, jakoś tak rzewnie i ślicznym, płynnym gestem uniosła rękę ku niebu.

– Prawię o marzeniach, które w istocie niczym innym nie są, jak wylęgniętymi w chorobliwym mózgu dziećmi fantazji!* [* Fragmenty dramatu „Romeo i Julia” Williama Szekspira w tłum. Józefa Paszkowskiego.]

– No proszę – powiedział Ross. – Czy ja mam prawo krytykować pani pisanie, skoro pani potrafi wymyślić zdania tak piękne?

Roześmiała się tak dźwięcznie, perliście, że Ross miał wrażenie, iż ten śmiech szybuje wokół niego, jak leciutkie płatki kwiecica jabłoni.

– Niestety, niestety, milordzie! To nie ja! Recytowałam panu fragmenty sztuki pana Szekspira pod tytułem „Romeo i Julia”.

Nawet Ross słyszał o „Romeo i Julii”, chociaż nie mógł sobie przypomnieć treści.

– Czy pani napisze podobną sztukę na wesele Emmy? Kordelia energicznie potrząsnęła głową.

– Napisałabym, gdyby muza zesłała na mnie całe morze talentu! Ale ze względu na pańską siostrę, milordzie, dołożę wszelkich starań. – Znów uśmiechnęła się i złożyła przed Rossem jeden ze swoich przesadnie głębokich ukłonów, a szal skrzył się na jej ramionach. – Milordzie, nie śmiem dłużej obarczać pana moim towarzystwem. Pan pozwoli, że...

– Proszę zostać! – powiedział i zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to bardzo po lordowsku. – Panno Lyon, czy pani kiedykolwiek obserwowała gwiazdy?

– Gwiazdy? Naturalnie, milordzie. Piękne rozgwieżdżone niebo zawsze przykuwa mój wzrok.

– Ale czy pani te gwiazdy zobaczyła, panno Lyon? Pojmuje pani, o co mi chodzi? Proszę za mną, ja pani zaraz wszystko pokażę.

Złapał ją za rękę, nagle ogarnięty wielkim entuzjazmem, i szybko wyprowadził ją spomiędzy powykręcanych konarów jabłoni na kawałek otwartej przestrzeni w środku sadu. Przystanął, nie wypuszczając ręki Kordelii ze swej dłoni. Odchylił głowę i spojrzał w niebo.

– Nie rozumiałem za dobrze gwiazd, dopóki nie wypłynąłem na pełne morze. Wtedy poznałem je tak naprawdę – powiedział. No, wreszcie był w domu. Poruszył temat, w którym czuł się pewnie i wiedział, co mówić. – Astronomowie w Greenwich potrafią prawić uczenie na temat planet i mgławic, ale zwyczajny angielski marynarz rozumie gwiazdy swoim sercem. Proszę

spojrzeć tam, na najjaśniejszą gwiazdę. To Gwiazda Polarna, królowa wszystkich gwiazd.

– Czy tam, milordzie? – Kordelia odchyliwszy się nieco, zadarła głowę. Jej palce odruchowo mocniej splotły się z jego palcami. – Ta olbrzymia, otoczona przez inne, mniejsze gwiazdy?

Jej włosy otarły się o jego ramię, Ross instynktownie przytrzymał Kordelię ramieniem, chroniąc ją przed ewentualnym upadkiem.

– To konstelacja Ursa Minor, czyli Mała Niedźwiedzica.

Panna Lyon pachniała różami, intensywnie i słodko, rozpraszając jego uwagę.

– Gwiazda Polarna zajmuje miejsce w samym środku konstelacji i jest to gwiazda widoczna najbliżej Bieguna Północnego. I każdy marynarz, nieważne gdzie by się nie znalazł, kiedy dojrzy ją na niebie, wie już, gdzie jest.

– Niebawem – szepnęła Kordelia. – I to tylko dzięki jednej małej gwiazdce.

– Gwiazda Polarna wcale nie jest mała – wyjaśnił, odruchowo ścisząc głos, jakby chciał go dopasować do szeptu Kordelii. – Przepuszczalnie jest większa od ziemi, ale dzieli nas od niej ogromna odległość.

– Noc... Gwiazdy...

Kordelia nie patrzyła jednak już w gwiazdy. Patrzyła na niego.

– Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki! I jeszcze słodsza muzyka na świecie?

Ross przyciągnął ją do siebie nieco bliżej.

– Czy to pani słowa, panno Lyon, czy pana Szekspira? – „Romeo i Julia”, milordzie. To słowa Wiliama Szekspira.

Oczy panny Lyon były półprzymknięte, długie gęste rzęsy rzucały cienie na policzki, i nic tak jeszcze Rossa w życiu nie kusilo, jak ten uśmiech, właściwie półuśmiech na czerwonych, pełnych wargach panny Lyon.

– Kto wie... czy oni naprawdę istnieli? – Kochanków dwoje, co wzięło życie pod najstraszliwszą z gwiazd?

Głos Kordelii był słodki, tęskny, rozmarzony. I Ross, zanim jego uporządkowany, racjonalny umysł podpowiedział inne rozwiązanie, po raz kolejny uległ instynktowi. Pocałował Kordelię Lyon w usta. Była miękka, ciepła i chętna, i żeby nie stracić podczas pocałunku równowagi, jedną ręką objęła go za szyję. Połyskujący szal z gazy zsunął się z ramion i miękko opadł na trawę. Pocałunek Rossa stawał się coraz bardziej namiętny, Kordelia, wydawszy z siebie cichutkie westchnienie, rozchyliła zachęcająco wargi. Czyli jej chęć równa była jego chęci. A Ross całował tak, jak chyba jeszcze nigdy nie całował żadnej kobiety, bo też i on nigdy jeszcze nie spotkał kobiety tak godnej pożądania, jak panna Lyon.

– Och, milordzie – szepnęła, prawie bez tchu, gdy w końcu przerwał pocałunek. – Kiedy pan powiedział, że pokaże mi gwiazdy, nie wiedziałam, że właśnie to miał pan na myśli.

Ross roześmiał się.

– Nigdy jeszcze oglądanie gwiazd nie sprawiło mi tyle przyjemności ani...

– I już nigdy razem nie będziemy oglądać gwiazd, milordzie. Pan i ja...

Nie, nigdy.

– Ale dlaczego?

Chciał przytrzymać ją, ona jednak zdążyła wysunąć mu się z ramion.

– Nie, milordzie – powtórzyła, cofając się przed nim. Smutek w jej głosie równy był rozpacz w pięknych oczach. – Dla nas nie będzie już żadnych gwiazd.

I lekko jak elf umknęła po zielonej trawie, znikając w mroku, wśród ciemnych pni jabłoni...

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Jeszcze raz od początku, Gwen! – zawołała Kordelia, stojąca na ławce, aby każdy mógł ją dobrze zobaczyć, a ona każdego. – I tym razem, bardzo proszę, spróbuj powiedzieć z pamięci!

Gwen skrzywiła się, obracając nerwowo w dłoniach kartkę, na której zapisana była jej rola.

– Staram się, jak mogę, Kordelio! Ale dziś jest pierwszy dzień prób, a ty dałaś mi bardzo długą rolę do wyuczenia!

Kordelia wzruszyła tylko ramionami. Ona sama uczyła się roli błyskawicznie i nie miała w sobie za grosz wyrozumiałości dla tych, którym szło to nieco opornie.

– Boginie zawsze wygłaszają najdłuższe przemowy, Gwen. Jeśli chcesz grywać takie role, musisz tych kwestii się wyuczyć. I nie ociągaj się, bo przydzielę tę rolę komuś innemu.

Gwen nabrała głęboko powietrza, wyciągnęła obie ręce ku białemu sufitowi sali balowej i swoim wysokim, śpiewnym głosem zaczęła mówić prolog. Zwykle Gwen grywała role komiczne, fertycznych pokojówek albo przemądrzałych hrabin, niestety, rola bogini wymagała zupełnie innych predyspozycji aktorskich.

Kordelia skrzywiła się i potarła ręką czoło. Na pewno miałyby teraz więcej cierpliwości do Gwen, gdyby tej nocy wyspała się należycie i gdyby nie prześladowało jej wspomnienie magicznego wprost pocałunku hrabiego Mayne'a.

– A mnie jakoś trudno sobie wyobrazić boginię, która byłaby aż tak elokwentna – oświadczyła nagle Gwen w połowie swojej kwestii, opuszczając ręce. – I ta bogini jest śmiertelnie nudna.

– Bo zapominasz co drugie słowo i psujesz całą kwestię! – Kordelia opuściła nieco głowę, ale wyraz jej twarzy pozostał nieugięty. Oczywiście, to była dopiero pierwsza próba, ale do ślubu lady Emmy były już tylko niecałe dwa tygodnie. – Gwen, proszę! Mów dokładnie całą kwestię, nie wolno opuszczać ani słowa.

Gwen posłusznie zaczęła kontynuować swoją tyradę, a Kordelia westchnęła i spojrzała w okno. Ojciec, jak siwobrody generał, wymachując rękoma, wydawał rozkazy dwóm lokajom, którzy rozwijali i układali na trawniku podniszczone już dekoracje w celu ich wywietrzenia. Materiał był porządnie wypłowiały, należało go ufarbować, zanim odbędzie się przedstawienie przed ich lordowskimi gośćmi. A co do zużytych kostiumów, leżących w kufrach trupy wędrownej, to...

Och, o kostiumy będzie się martwić jutro, pomyślała i jeszcze raz głęboko westchnęła.

– Kordelio... – rozległ się z boku szept lady Emmy, która nie opuszczała

tego miejsca od chwili, gdy dziesięciu członków trupy przyszło tego ranka do sali balowej na swoją pierwszą próbę. – Czy to ten dżentelmen ma grać mojego Weldona? – Ten wysoki z rudymi włosami?

– Tak. To pan Ralph Carter, aktor pierwszorzędny, milady. A co do włosów, pan Carter dzięki peruce ulegnie stosownej transformacji.

W tym samym momencie pan Carter, nieświadom, że o nim mowa, ziewnął sobie szeroko jak osioł, drapiąc się leniwie po brzuchu.

– Pan Carter grywa najszlachetniejszych bohaterów – powiedziała szybko Kordelia, pragnąc odwrócić uwagę Emmy od aktora. – Co prawda, jeszcze całkiem się nie obudził, ale jestem pewna, że milady będzie zadowolona z jego ostatecznej interpretacji roli.

Emma nadal jednak z niepokojem zerknęła przez ramię na aktora, pogardliwie wydymając różowe usteczka.

– Myślisz, że on może grać głównego bohatera, Kordelio? On mojemu Weldonowi nawet wzrostem nie dorównuje!

– Emmo, nie zapominaj, że nasza sztuka pod tytułem „Triumf miłości” ma być apoteozą głębi waszego uczucia, a nie wiernym odtworzeniem rzeczywistości.

Kordelia obejrzała się na Gwen, która znów coś tam zapomniała i teraz nerwowo przesuwiała palcem po swojej kartce, szukając brakujących słów.

– Proszę zauważyć, że milady i ja różnimy się od siebie bardzo, a jednak to ja gram główną bohaterkę.

– Ale obie jesteście bardzo piękne! – rozległ się nagle tuż za nimi wesoły głos hrabiego. – I to jest wystarczające podobieństwo.

– Naturalnie, że obie jesteśmy bardzo piękne! – Emma obdarzyła brata promiennym uśmiechem i przechyliła główkę, żeby brat mógł pocałować jeden z różowiutkich policzków. – I dlatego przychodzisz do nas, żeby znów z nami pogawędzić!

– Przyszedłem przede wszystkim sprawdzić, czy nie robisz zbyt wielkiego zamieszania, Emmo! Czy tak jest, panno Lyon?

– Naturalnie, że nie, milordzie!

Kordelia złożyła ukłon, przede wszystkim po to, aby ukryć swoje zmieszanie. Jej nigdy nie brakowało słów, jednak przy Rossie jakoś nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, przede wszystkim dlatego, że tyle było do zobaczenia. Dołki w policzkach, kiedy się uśmiechnął, zwichrzone włosy, opadające na czoło, i sposób, w jaki hrabia na nią patrzył. Jakby łączył ich jakiś wielki sekret, co zresztą było prawdą, zważywszy na wczorajsze zdarzenie w jabłkowym sadzie.

– Kordelio, wstań – powiedziała Emma, chichocząc. – Mój brat nie jest królem, przecież wiesz!

– O tak, ona wie – powiedział Ross i ku zdumieniu Kordelii, wziął ją za rękę i pomógł jej powrócić do poprzedniej pozycji. Jego ciepłe palce grzały jej dłoń, palec wskazujący, naturalnie, poplamiony był atramentem. – Pani nie myli

mnie z Jego Królewską Mością, prawda, panno Lyon?

– Trudno pomylić, milordzie – odparła, oswabadzając swoją rękę. Wzięła głęboki oddech i zganiła siebie w duchu, że trząść się nie należy, tylko myśleć trzeźwo. Hrabia to tylko mężczyzna, i to był tylko jeden pocałunek, a nie jakiś kataklizm, jakby przykładowo cała Anglia znikła w odmętach Morza Północnego. I trudno teraz winić romantyczną poświęcę księżycy. – Jest pan tylko hrabią Mayne'em, nic ponadto.

– Ależ Kordelio! Ross jest kimś więcej! – Emma oparła dumnie dłoń na ramieniu brata. – Mój brat jest znanym i bardzo szanowanym uczonym, pisze książki i rozprawy naukowe dla Królewskiej Floty Wojennej i Królewskiego Towarzystwa Naukowego.

– Czy w pańskich książkach zawarte są również studia nad jabłkiem albo nad sadami? – Jeśli on zamierzał jej przypomnieć o wczorajszym wieczorze, to ona go ubiegła, aby udowodnić, że ten wczorajszy wieczór liczył się dla niej tyle co nic.

Jego reakcja była natychmiastowa, a uśmiech prawie wyzywający.

– Ze strony uczonego, nawet bardzo spragnionego wiedzy, byłaby to wielka śmiałość podążać za Ewą do jabłkowego sadu.

Kordelia zmrużyła oczy i podjęła rękawicę.

– Sądzę, milordzie, że to zależy przede wszystkim od tego, do jakiego stopnia ów uczoney pochłonięty jest wiedzą. Ewę wcale nie musi zajmować wyłącznie osoba owego uczonego, może wcale nie czekała na niego w sadzie.

– Słuszne założenie, panno Lyon – powiedział, a wyzwanie w jego uśmiechu sprawiało, że wyglądał teraz nie jak hrabia czy szanowany człowiek nauki, lecz bardziej interesująco, bo jak zwyczajny mężczyzna. – Mimo że takie założenia mogą być niebezpieczne, jeśli poczyni je uczoney. Bo z tego, co wiemy, Ewa może być bardziej zainteresowana gwiazdami niż jabłkami.

– Ale jabłonie wyrastają z ziemi, milordzie – oświadczyła Kordelia, uderzając się po rękę zwiniętymi w rulon kartkami z tekstem sztuki.

– I jabłka z natury swojej są bardziej treściwe i trwałe niż najjaśniejsze gwiazdy na niebie.

– Ale niech pani nie zapomina, że jabłka doprowadziły Ewę do upadku. Czyż nie lepiej by było, gdyby zwróciła uwagę na gwiazdy i nieboskłon?

– Jakie jabłka, Ross? – spytała zaszepiona nagle Emma, przenosząc podejrzliwy wzrok z brata na pannę Lyon. – Sad? Gwiazdy? O czym wy mówicie? Wygląda na to, że Kordelia wie o czymś, o czym ja nie wiem. Bo ja byłam pewna, że ty zajmujesz się naturą fal w oceanie.

– I tak jest w istocie – przytaknął Ross, z miną nieco niewyraźną, jak chłopiec przyłapany na jakiejś psocie. Chrząknął i z uroczą nonszalancją odgarnął sobie z czoła swoje bujne włosy. – I teraz powinienem nie lenić się i przeszkadzać tutaj, ale zająć się pisaniem. Na pokładzie „Perseverance” żyliśmy według zegara, nie marnowaliśmy ani minuty. Ten obyczaj próbuję wprowadzić również tutaj.

– Pan wcale nie przeszkadza, milordzie – powiedziała Kordelia szybko, może trochę zbyt pośpiesznie. – Jeśli ma pan ochotę przyglądać się próbom, bardzo proszę. Jako nasz patron i czcigodny mecenas sztuki dramatycznej ma pan do tego święte prawo. Wszyscy jesteśmy do usług jego lordowskiej mości.

Kordelia zatoczyła ręką szerokie koło, wskazując na pozostałych członków trupy, którzy naturalnie przerwali próbę, podsłuchując bezwstydnie rozmowę hrabiego i Kordelii. Nawet ojciec Kordelii zastygł na ścieżce, aż wachlował uszami, chory z ciekawości.

Hrabia – a niech go licho porwie! – zaspokoił ciekawość wszystkich, oświadczywszy donośnym głosem:

– Zostałbym tu z wielką ochotą, panno Lyon, niestety, mam pilne zajęcia. Przyszedłem tylko po to, aby zwrócić to pani. – Wsunął rękę za pazuchę i wyciągnął zwój połyskującej gazy. – Podczas naszej wczorajszej... rozmowy zsunął się pani z ramion. Znalazłem go potem w trawie.

– Dziękuję, milordzie. – Kordelia, oblana szkarłatnym rumieńcem, odebrała szal, zwinęła go w małą kulkę, kulkę zacisnęła w dłoni, jakby chciała w niej ukryć całe swoje zażenowanie, scena bowiem rozegrała się na oczach tylu świadków. – A teraz pan wybaczy, milordzie, musimy wracać do pracy.

– Naturalnie, panno Lyon. Ja też wracam do swojej biblioteki.

Uśmiechał się do niej, jakby wcale nie miał zamiaru odchodzić, tak jak nie miał zamiaru wychodzić z sadu, zanim nie objął jej ramieniem i nie szeptał jej tych dyrdymalek o gwiazdach i księżycowym blasku.

Najgorsze jednak było to, że Kordelia wcale nie chciała, żeby teraz odchodził.

– To nie tylko pierwsza próba, milordzie – powiedziała, znów trochę zbyt gwałtownie, jakby chciała przekonać nie tylko jego, lecz i siebie. – Muszę jeszcze udoskonalić moją sztukę jako całość, poza tym trzeba dobrać kostiumy i rekwizyty...

– Ja to wszystko pojmuję, panno Lyon, i w żaden sposób nie mam zamiaru przeszkadzać artystom w ich dziele tworzenia. – Skłonił się, znów układowy i poważny, jeszcze tylko napomknął siostrze. – Emmo, spodziewaj się mnie przy herbacie.

– Uwaga! Uwaga! Wracamy do pracy! – zakrzyknęła energicznie Kordelia. Nie chciała, żeby Ross pomyślał, że ona będzie skwaszona, ponieważ on odchodzi. Kompromitujący szal wcisnęła do koszyczka i rozwinęła swój manuskrypt. – Trudno wprost uwierzyć, że jak dotąd zrobiliśmy tak niewiele!

– Kordelio? Tobie podoba się mój brat? – spytała nagle Emma, przyglądając się Kordelii bacznie.

– Ty mu się też podobasz. Nie zauważyłam tego wcześniej. Ale teraz spostrzegłam, jak wy patrzycie na siebie...

– Patrzymy na siebie jak wszyscy, swoimi oczami – odparła nieco sztywno Kordelia. – Tak zwykle to się robi.

– Ale z moim bratem jest zupełnie inaczej!
– zaprzeczyła Emma gwałtownie. – Najpiękniejsza kobieta na świecie może wchodzić przed nim w drzwi, on i tak jej nie zauważy, zatopiony we własnych myślach. Widziałam to nieraz, i to było dla mnie przerażające.

– Mogę tylko to sobie wyobrazić. Milady, przepraszam, ale...

– Nie, nie! Musisz wysłuchać mnie, Kordelio!

– Emma uczyniła ręką władczy gest. – Musisz pojąć, że mój brat jest zupełnie inny niż ty, Kordelio! Różnisz się od niego bardzo. A on patrzy na ciebie i dostrzega tylko to, co jest dla niego miłe. Co chce zobaczyć.

Kordelia znów poczuła, że jej policzki płoną. A Kordelia Lyon nigdy się przecież nie rumieni.

– Proszę wybaczyć, milady, ale czasami człowiek dostrzega coś, co wcale nie istnieje.

Odwróciła się, klasnęła w dłonie i podeszła dok prowizorycznej sceny.

– Gwen, Robert, bardzo proszę, stawajcie na swoich miejscach!

Gwen stała już na swoim miejscu, na środku sceny, na jej ustach widać było charakterystyczny, pełen sarkazmu uśmiech, który publiczność uwielbiała.

– Tak, milordzie, nie, milordzie – zapiszczała, mrugając do Kordelii. – Oczywiście, naturalnie, dlaczegożby nie, skoro naszym mecenasem jest tak przystojny milord!

Kordelia uniosła dumnie głowę.

– Mówże swoją kwestię, Gwen, jeśli łaska! Gwen zakołysała kusząco biodrami, jedna z aktorek zachichotała.

– Ta kwestia brzmi stosownie dla bogini miłości, złotko, i jeśli chcesz...

– Wystarczy, Gwen – rozległ się głos Alfreda, podejrzenie łagodny. – Stanowczo wystarczy!

– Och! – pisnęła Gwen. – Troszkę sobie pożartowałam! A ty przecież sam widziałeś ją z tym lordem, jak się patrzył na nią, prawie oblizywał się jak kot na widok...

– Powiedziałem, że wystarczy, Gwen – powtórzył Alfred z naciskiem. – Gdybyś chociaż połowę czasu, który przeznaczasz na głupie plotki, poświęciła na uczenie się roli, wyszłoby to na dobre całej naszej trupie. Kordelio, chciałbym zamienić z tobą słówko.

Kordelia domyślała się, o czym ojciec chce z nią porozmawiać. I wcale nie chciała tego słuchać.

– Może później, ojczu, kiedy...

– Nie, córko. Teraz – powiedział, wskazując na drzwi, prowadzące do ogrodu. – I nie guzdraj się, proszę.

Nie miała wyboru. Musiała dołączyć do niego i razem z nim zejść po kamiennych schodkach na zielony trawnik.

– Ojczu! Mamy tak mało czasu na przygotowanie tego przedstawienia, a ty jeszcze...

– Och, daj spokój, Kordelio! – obruszył się Alfred, siwe brwi ściągnięty

się w gniewną krechę. – Przestań być taka groteskowa. Ta inscenizacja jest bardziej banalna niż zadek osła. A ty potrafiłaś przygotować rzecz o wojnie trojańskiej na proszony obiad u rajcy w czasie jeszcze krótszym niż ta głupia sztuczka z okazji ślubu.

– Wojna trojańska była łatwa – powiedziała Kordelia, mrużąc oczy przed słońcem. Ojciec rzeczywiście wybrał sobie odpowiednie miejsce, na tle tego słońca wygląda jakby miał wokół głowy złocistą aureolę! – A w tej sztuce trzeba stworzyć postacie, wzorowane na rzeczywistych, co jest dodatkowym utrudnieniem..

– Pojmuję – przerwał Alfred. – I jedna z tych realnych postaci niepokoi mnie, a dokładniej... pewien dżentelmen. Powiedz no mi, co naprawdę zdarzyło się wczoraj wieczorem między tobą a tym uczonym hrabią, co?

– Przeprasiny. – Kordelia życzyłaby sobie gorąco, żeby jej głos nie zabrzmiał tak defensywnie. – Przeprosiłam go, żebyśmy mogli zagrać tu tę sztukę, aby uratować nasze apanaże. Sam tego chciałeś, ojcze.

Ojciec nie odpowiedział od razu. Skrzyżował ramiona na piersi i przez długą chwilę milczał. A Kordelia w tym czasie przeżywała prawdziwe męki. Czekala na słowa ojca. Co on zauważył?

W końcu ojciec ożył. Westchnął i powiedział:

– Daję słowo, Kordelio, ja zawsze uważałem cię za aktorkę wyborną, ale to, co zrobiłaś teraz, jest po prostu niepokojące.

– Powiedziałaś prawdę!

– Tylko jej strzępek, prawdopodobnie, bo na pewno nie całą. Reszta tej prawdy wypisana była na twarzy jego lordowskiej mości w sposób oczywisty. Tak samo jak na twojej, droga córko. Nasza Gwen zobaczyła tam to, co dojrzałby ślepiec.

Policzki Kordelii zaróżowiły się, głowę jednak nadal trzymała wysoko.

– Ojcze... Po prostu świecił księżyc. I nic wielkiego się nie wydarzyło. Przysięgam.

Alfred chrząknął, wcale nie przekonany.

– To moja wina, ja sam dokuczałem ci z powodu tego człowieka. A ty nigdy nie oprzesz się wyzwaniu, czy tak, Kordelio? – Przecież mówię ci, ojcze, że hrabia nic dla mnie nie znaczy.

– Ty wiesz, że on nie ożeni się z tobą. – Bezceremonialność ojca, tak rzadka u niego, zraniła ją do żywego. – Nie oszukuj się, Kordelio. Możesz być dla niego tylko rozrywką, niczym więcej. Szlachetnie urodzeni panowie traktują nas, ludzi teatru, tylko jak chwilową rozrywkę, dlatego lepiej trzymać ze swoimi, Kordelio.

– Ja w tym samym stopniu chcę wyjść za niego, co on mnie poślubić, ojcze!

– To dobrze. – Twarz Alfreda w jednej sekundzie stała się twarda i ponura. – I na pewno w twojej głowie nie zaświtał pomysł, żeby uciec z hrabią albo zostać jego utrzymanką? Żadne klejnoty nie są tego warte, i ja nie chcę,

Kordelio, żebyś miała złamane serce.

– Nie, ojcze, takie myśli nie powstały w mojej głowie – powiedziała Kordelia, zszokowana nie tyle treścią jego słów, co faktem, że je wypowiedział.

– Zaręczam, że on nie znaczy dla mnie nic, po prostu mniej niż nic!

– Dla twojego własnego dobra błagam cię, Kordelio, żebyś dotrzymała swojej obietnicy.

Nagle z twarzy ojca znikło napięcie, a pojawiło się wielkie znużenie. Podniósł rękę i rękawem otarł twarz, jakby zmazując z niej wszystkie bolesne wspomnienie.

– Jesteś w połowie dzieckiem swojej matki, Kordelio – powiedział, wcale nie kryjąc goryczy. – Masz we krwi jej namiętność. Miłość powoduje, że kobieta rozkwita jak róża, ale żądza i chciwość doprowadza ją do upadku, tak jak to stało się z twoją matką.

– Ale ja nią nie jestem, ojcze – powiedziała, pragnąc podzielić brzemię jego tajemnicy. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Ja jestem Kordelia, ojcze. Twoja Kordelia.

– I dlatego tak się o ciebie boję. Położył dłoń na jej dłoni. Czują, jak drżą jego palce.

– Pragnę, żebyś pokochała mężczyznę, który będzie na to zasługiwał, który zaakceptuje ciebie i to, kim jesteś. Chcę, żeby traktował cię jak klejnot, a nie jak błyskotkę.

Znów pomyślała o Romeo i Julii, o tragedii, która zdarzyła się z powodu zgubnej namiętności. Potem pomyślała, jak ciepło uśmiechał się do niej hrabia w blasku księżyca. Za niecałe dwa tygodnie trupa wystawi przedstawienie przed gośćmi hrabiego. Następnego dnia aktorzy opuszczą Howland Halle i tego samego dnia – Kordelia była tego pewna – hrabia wyrzuci Kordelię z pamięci.

– A teraz, złotko, nie smuć się – powiedział ojciec, głaszcząc ją po rękę. – Sztuka weselna wymaga, aby dookoła były tylko twarze uśmiechnięte, radosne. Uśmiechaj się więc do jego lordowskiej mości, czaruj go, ile chcesz. Ale strzeż swego serca, Kordelio. Strzeż jak oka w głowie.

– Tak uczynię, ojcze – powiedziała łagodnie i smutno, bo na duszy było jej bardzo ciężko, od tęsknoty za tym, co nie mogło się stać. – Tak uczynię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kordelia, bez trudu utrzymując równowagę na wysokim podnóżku, pochyliła się w stronę aktora. Wyrzuciła ręce w tył, szal owinięty wokół jej nadgarstków załopotał jak skrzydła.

– O ukochany! Ja konam, konam z rozpaczny największej! – powiedziała dramatycznym głosem, a jej wzrok skierowany był dokładnie na Rossa. – Umieram z żalu, ale wierzę, że nie pozwolisz długo czekać memu zbolałemu sercu...

Ross, warujący na swoim miejscu na ogrodowym murku, aż potrząsnął głową z największego zdumienia. Kordelia była tak piękna, zbyt piękna dla tego łotrzyka o lisiej twarzy, któremu prawiła teraz tak słodko. I tak przekonywująco, że Ross, choć przecież wiedział, że to tylko teatr, wierzył każdemu jej słowu.

Szal znów załopotał, teraz Kordelia pięknym ruchem wyrzuciła ręce w przód, przechyliła głowę na bok i przytknęła palce do ust. Na jej wyrazistej twarzy malował się najgłębszy smutek. I Ross zdecydował z całą stanowczością, że on nigdy czegoś piękniejszego i smutniejszego w życiu nie widział, nawet jeśli wątpił, czy tak rozdzierająca scena nastąpiła kiedyś naprawdę między Emmą i Weldonem.

– Ty wrócisz! Wrócisz z chyżością, która porusza tylko skrzydłami kochanków – mówiła dalej Kordelia. Stała na palcach i nachyliła się ku Carterowi, aktorowi grającemu Weldon. – Obiecuj mi...

– Wróć! Bo me serce, pełne pragnień i tęsknoty, już nie moje, a oddane ci bez reszty. O miła ma, najmilsza, tyś jego królową! – powiedział aktor, kładąc rękę na sercu i ustawiając się bokiem do widowni, aby zademonstrować swój wyrazisty profil. – Jam twój... Na Jowisza! Kordelio! Za nic nie mogę przypomnieć sobie, co dalej!

– Jam w twojej mocy, nawet gdy los nas rozłącza – podpowiedziała Kordelia, nie zmieniając pozycji.

Carter odchrząknął.

– Jam w twojej mocy, jam... o, do diabła!

– No, nie! Ralfie! Tyle dni miałeś na nauczenie się tej roli! Czyżbyś zaraził się lenistwem od Gwen?

Carter prychnął pogardliwie i dumnie wysunął pierś do przodu, dzięki czemu jego wielki brzuch wydawał się nieco mniejszy.

– Ja? Miałbym się czymś zarazić od tej starej maciory? Cóż za insynuacje, Kordelio!

– Jak wyuczysz się dobrze roli, nikt niczego nie będzie ci insynuował – rozległ się surowy głos Alfreda Lyona.

– Już dobrze, ojciec – powiedziała Kordelia, zeskakując ze swojego podnóżka. – Na dziś koniec. Niedługo północ. Ralfie, jeśli ty jutro rano nie będziesz umiał swej roli...

– Będę umiał, o pani najmilsza! – Ralf przewrócił zabawnie oczami i poklepał się po sercu. – Czy ja kiedykolwiek zawiodłem panią, panno Lyon?

– Niezliczoną ilość razy, panie Carter! – oznajmiła Kordelia znużonym głosem. – Mam nadzieję, że to się nie powtórzy.

Ku zdumieniu Rossa, Kordelia wcale nie ruszyła ku drzwiom, prowadzącym w głąb domu, lecz skierowała się do drzwi do ogrodu, znajdującym się dokładnie naprzeciwko miejsca na murku, gdzie siedział Ross. Ledwo zdążył zeskoczyć z murku, a Kordelia stała już przed drzwiami, z dłonią na kłamce i spoglądała na Rossa.

– Panno Lyon! – powiedział. – A... dzień dobry!

– Raczej „dobry wieczór”, milordzie. Już prawie północ. – Kordelia spochmurniała, czując się bardziej stropiona niż zaskoczona. Jakby jakimś siódmym zmysłem wyczuwała, że zastanie hrabiego na tym murku. – A ja chciałam przed snem zaczerpnąć świeżego powietrza. I zastaję tu pana, milordzie. Czy obchód swoich włości robi pan zawsze nocą, jak wałęsający się kocur?

– Ależ wcale się nie wałęsam. O tej porze bardzo często jeszcze nie śpię, tylko pracuję. A dziś wieczorem pomyślałem sobie, że chętnie przyjrzę się waszym próbom.

– Z tego murku, milordzie? Dlaczego nie wszedł pan do środka, zamiast podglądać przez okno?

– Nie chciałem państwu przeszkadzać. – Co tak do końca wcale nie było prawdą. Już trzeci wieczór spędzał na tym murku, za każdym razem czując w sercu wielkie pragnienie, żeby zrobić z Kordelią to samo, co zdarzyło mu się już raz zrobić w jabłkowym sadzie.

– Emma z pewnością przekazała pani tyle sugestii, że nie jestem potrzebny jako publiczność.

Spojrzała na niego spod cudownie długich i gęstych rzęs, spojrzenie było bardzo szczere, pełne sceptycyzmu, zupełnie nie jak spojrzenie damy.

– Czyli nastąpiła w panu ogromna przemiana, milordzie! Jeszcze parę dni temu gotów pan był napisać całą sztukę od początku, obsadzić role i reżyserować.

– Przemyslałem to stanowisko i doszedłem do pewnych konkluzji – oświadczył, krzywiąc się w duchu, że zabrzmiało to tak pompatycznie.

– Tym niemniej nie przestał się pan martwić o zainwestowane pieniądze? – spytała, a sceptycyzm wcale z jej oczu nie zniknął.

Owszem, taki był dokładnie powód tego, że zasiadł na murku pierwszego wieczoru, ale wcale nie miał zamiaru się do tego teraz przyznawać.

– Moja siostra zdecydowała o wszystkim. Ona bardzo pragnie tej sztuki, nic dziwnego, że sam się tym też przejąłem i pragnę dla niej jak najlepszego przedstawienia. A co do wtrącania się, to przyznam szczerze, że bardzo nie lubię, kiedy ktoś ingeruje w moją pracę. I doskonale mogę sobie wyobrazić, że pani czuje to samo.

– Ale dziś wieczorem żaden intruz by nam nie przeszkadzał, milordzie, zaręczam. – Kordelia westchnęła, spoglądając na ogrody zalane księżycowym światłem. – I, niestety, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Sam pan widział. Nikt nie pamięta dobrze swojej roli, a wszyscy grają tak sztywno, jakby udawali szyldy. A pańska siostra zasługuje na coś lepszego.

– Z tego, co widziałem, wszystko wydało mi się w porządku – powiedział, mając w pamięci, naturalnie, tylko występ Kordelii. – Wręcz doskonale. To był występ na miarę londyńskiego teatru Drury Lane.

Kordelia uśmiechnęła się smętnie.

– Jest pan nadzwyczaj miły, milordzie, ale brak panu krytycyzmu. Komu jak komu, ale panu nie powinnam tego mówić, pan nas przecież wynajął. Ale prawda jest taka, że tylko cud może sprawić, aby sztuka „Triumf miłości” była tak dobrym przedstawieniem, jakbym sobie tego życzyła i na jakie zasługuje pańska siostra.

Ross nie spodziewał się po aktorce aż takiej szczeroci. Ale Kordelia była teraz inna, niż wtedy, w sadzie. Wyglądała na znużoną, zniechęconą i bezradną. Ross czuł, że tego wieczoru Kordelia nie będzie recytować wyjątków z „Romea i Julii”.

Tym niemniej panna Lyon wzbudziła w nim uczucia całkiem nieoczekiwane. Zapragnął objąć jej smętnie opuszczone ramiona i powiedzieć wszystko, co powinna usłyszeć, aby poczuć się lepiej.

– Jeszcze dzień, dwa, panno Lyon, i z pewnością wszystko będzie tak, jak być powinno – powiedział. – Przekona się pani. Tak jest zawsze, kiedy człowiek pracuje nad czymś, co dla niego wiele znaczy. Im bardziej jest to ważne, tym człowiek więcej wymaga i bardziej się tym przejmuję.

Kordelia odgarnęła z czoła pasmo ciemnych włosów i spojrzała na niego niemal prowokująco.

– Proszę wybaczyć, że zapytam otwarcie. Pan jest hrabią, milordzie. Cóż tak szlachetnie urodzony dżentelmen może wiedzieć o pracy?

– Wiem o niej mnóstwo – oświadczył, urażony, że Kordelia widzi w nim tylko jeszcze jednego rozpróżnionego arystokratę. – I chociaż nie muszę harować na chleb, zapewniam panią, że robiąc moje doświadczenia, pracuję równie ciężko jak niejeden człowiek w naszym Królestwie, bogaty czy biedny.

Kordelia nagle jakby zeszywniała.

– Jeśli pan, milordzie, zamierza dziś znów prawić te nonsensy o gwiazdach, żebym zadarła głowę, a pan mógł mnie pocałować, to najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdę.

– To wcale nie były nonsensy – zachnął się Ross. – Tylko niezbite fakty.

– Te niezbite fakty doprowadziły do tego, że pan mnie pocałował, bo jestem tylko aktorką i łatwą zdobyczą dla dżentelmena?

– Nie pocałowałem pani dlatego, że jest pani aktorką – powiedział, zdumiony, że takie zarzuty w ogóle przysły jej do głowy. On przecież nie był ani wyrachowanym hulaką, ani grubiańskim, niedouczonej próżniakiem. –

Pocałowałem panią, bo... bo chciałem pocałować.

Kordelia sposepniała, opuściła głowę.

– Tego faktu nie jestem pewna, milordzie.

– A ja jestem pewien, panno Lyon. I nie należę do ludzi, którzy fakty lekceważą. A tak na marginesie, to pani próbowała mnie oszołomić, recytując fragmenty sztuki Szekspira. A to nie było fair.

– Szekspir nie był fair? Dlaczego? – Nieoczekiwany uśmiech Kordelii zbił Rossa nieco z pantafyku. – Och, milordzie! Teraz... umysł mój dziko jest usposobiony, nie mniej niż głodny tygrys lub wzburzone morze!

– Wzburzone morze... Znów Szekspir?

– Znów pan nie poznał! Naturalnie, że Szekspir i także „Romeo i Julia”. Teraz ta sztuka nie wychodzi mi z głowy, a to z powodu ślubu pańskiej siostry.

– Ale mi chodzi o morze, wzburzone morze. Bo to jest właśnie moja praca, tym się zajmuję, te dwa słowa określają to najlepiej. Fale, przypływy i odpływy, prądy, jednym słowem natura wód oceanu. To mnie fascynuje, panno Lyon.

Ogarnięty nagłym entuzjazmem, chwycił ją za rękę.

– Proszę iść ze mną, ja wszystko pani pokażę. Kordelia wyrwała jednak swoją rękę i uczyniła dwa pospieszne kroki do tyłu.

– Ja słyszałam, milordzie, że przypływy i odpływy to sprawka księżyca. A ja wolałabym uniknąć wpływu księżyca na pana i na mnie.

– Panno Lyon! Moje urządzenie do imitowania fal oceanu znajduje się w mojej bibliotece, tam, za ogrodem. I zaręczam, że do biblioteki nie wpada żadne światło księżyca.

Nie pojmował, dlaczego nagle tak bardzo zapragnął zademonstrować pannie Lyon swoją pracę. Ale tak było. On za wszelką cenę chciał ją przekonać.

– Panno Lyon, ja widziałem, jak pani pracuje. I teraz bardzo bym chciał, żeby pani zobaczyła moje własne wzburzone morze.

Kordelia zasepiła się i bezwiednie potarła sobie miejsce na rękę, tam, gdzie przed chwilą trzymał ją hrabia. Na podjęcie decyzji potrzebowała jednak tylko sekundy.

– Dobrze, milordzie.

Zeszła po kamiennych schodach i wstąpiła na trawnik, unosząc nieco w palcach powłóczystą spódnice.

– Z wielką chęcią przekonam się na własne oczy, nad czym hrabia pracuje. To może być bardzo zabawna historyjka do opowiedzenia innym, jak o czerwonym cielaku, który urodził się z dwoma głowami.

Ruszyła pierwsza, ale on trzema długimi krokami dogonił ją natychmiast.

– Fale, panno Lyon, na pewno są o wiele bardziej interesujące niż ja.

Panna Lyon uśmiechnęła się, niby gdzieś w bok, ale na pewno był to uśmiech dodający mu odwagi.

– Ja interesuję się wszystkim, czego nie znam, milordzie. Nigdy nie wiem, co może mi się przydać do kolejnej roli. A kto wie, może pewnego dnia

zagram syrenę, brykającą sobie wśród tych pańskich wzburzonych fal.

– Syrenę... Ross aż cicho westchnął, kiedy wyobraźnia jakoś dziwnie skwapliwie podsunęła mu obraz panny Lyon jako syreny, tej pieszczotki marynarzy, z biustem hm... odsłoniętym, wynurzającym się z fal i z powrotem zapadającym się w odmęty.

– Czy syreny często pojawiają się na scenie – Niestety nie, milordzie. Problem w dekoracjach, piekielnie trudno jest przedstawić na scenie wodę. Och, ja nawet nie wyobrażałam sobie, że pańska biblioteka jest tak blisko naszego prowizorycznego teatru!

Ross otworzył przed panną Lyon drzwi i nagle spojrzął na swoją bibliotekę tak, jakby sam zjawił się tu po raz pierwszy. Czyli zobaczył przede wszystkim rozgardiasz. Po całym pokoju porozrzucane były mapy, zeszyty naukowe i książki, pozakładane egzotycznymi muszelkami. Tylko świece porozstawiane były jak należy i zapalone, o co zadbał służący, doskonale obeznany z nocnym trybem życia swego pana. Ross pospieszył ku krzesłu i usunął z niego kosz z suszonymi wodorostami, które zbierał na wybrzeżu Brazylii.

– A więc to jest pańska kryjówka, milordzie? Kordelia zignorowała krzesło, które podsunął jej uprzejmie i rozpoczęła wędrówkę po pokoju. Znużenie Kordelii znikło, zdawała się być pełna życia i interesować wszystkim.

– Czyli tutaj powstają pańskie wiekopomne dzieła?

– A tak.

Ross chrząknął, obserwując, jak wdzięcznie porusza się Kordelia, przystając co chwilę, aby dotknąć którejś z muszli albo pooglądać kolejną mapę. Zwiedzała jego kryjówkę. Może i rzeczywiście jest to kryjówka, a Kordelia jest pierwszą kobietą, którą do tej kryjówki zaprosił. Jest również pierwszą kobietą, która wyraziła na to ochotę.

– Proszę o wybaczenie, nie skończyłem jeszcze rozpakowywać rzeczy po ostatniej podróży, stąd tu taki nieład.

– Ależ milordzie! Czymże jest puste biurko, jak nie świadectwem nudnego i pustego umysłu? Kordelia zatrzymała się przed długą, niską kadzią, ustawioną wzdłuż jednej ze ścian pokoju.

– A co to jest? – spytała, ostrożnie podnosząc róg czarnej ceraty, którą przykryta była kadź. – Czy to jest to słynne urządzenie do robienia fal, które obiecał mi pan pokazać?

– Tak.

Ross podszedł do kadzi, stając tak blisko Kordelii, że mógł poczuć intensywny, wręcz uderzający do głowy zapach jej ciała i włosów. Jej muślinowa suknia miała dość głęboki dekolt, który umożliwił mu rzucenie okiem na odsłonięty fragment pięknych, krągłych piersi, pyszniących się pod cienkim materiałem. A Ross doskonale pamiętał, jak ciepła była Kordelia w jego ramionach, jak miękkie było jej ciało i uległe, kiedy przygarniał je do siebie.

Pamiętał. I ona też pamiętała. Wyczuwała jego zainteresowanie, tak samo

jak obecność. Uniósł głowę i uważnie spojrzała na niego spod welonu czarnych rzęs.

– Milordzie, pamiętajmy, że tutaj nie dociera światło księżyca – powiedziała ostrzegawczym tonem, a następnie odsunęła się aż na drugi koniec kadzi, tam, gdzie ręka Rossa nie mogła jej już sięgnąć. – Żadnej Julii ani Romea!

Ross, nie odwracając od niej wzroku, zsunął z siebie płaszcz i rzucił go na oparcie krzesła, po czym przystąpił do ściągania z kadzi czarnego przykrycia, starając się ze wszystkich sił skupić na objaśnianiu, a nie na dekolcie panny Lyon.

– Dzięki obserwacjom pana Boyle’a wiemy już, że żadna pojedyncza fala nie jest w stanie wznieść się wyżej niż sześć stóp ponad powierzchnię wody.

Spojrzała na niego ostro, rozszerzyła oczy.

– Nie do wiary! I pan, milordzie, potrafi w tej kadzi na ryby zrobić falę o wysokości sześciu stóp?

– A skąd! Muszę zadowolić się mniejszymi wielkościami, ale potem robię sobie odpowiednie przeliczenia. Bo jest tak, że podczas sztormu fale łączą się ze sobą i osiągają wtedy wysokość dwudziestu, trzydziestu, a nawet czterdziestu stóp. W jaki sposób się łączą? Czy to łączenie się fal można przewidzieć i omijać? Rozwiązanie tych zagadek uczyni podróże morskie bardziej bezpiecznymi, i dla statków, i dla samych marynarzy.

– I dla syren też?

– Dla syren żadna fala nie jest przeszkodą – powiedział, życząc sobie, żeby Kordelia o syrenach już nie wspominała. – Ale każdego roku coraz więcej angielskich marynarzy ginie w zdradliwych wodach mórz niż od francuskich dział. Dlatego pozwolono mi wejść na pokład „Perseverance”, abym mógł przebadać fale na wszystkich oceanach świata.

– Czyli pan rzeczywiście przepłynął przez Pacyfik? – spytała z podziwem Kordelia. – A ja myślałam, że lady Emma to sobie wymyśliła.

– Nie, to prawda – powiedział. – Wystarczy rozejrzeć się po pokoju. Nie mogłem się oprzeć i z każdego portu czy wyspy przywozłem sobie jakąś pamiątkę.

– Niebawem... – Kordelia z wielką ciekawością pochyliła się nad wodą w kadzi, spoglądając w swoje odbicie. – Czy ta woda to też woda z dalekiego oceanu?

– Nie, to woda ze studni koło stajni. Co tydzień nalewa się do kadzi świeżej. Gdybym przywiózł wodę z oceanu, po tygodniu nie można by było tu wytrzymać. Śmierdziałaby zdechłymi rybami.

Kordelia zachichotała i zaczesła włosy za uszy.

– Milordzie, czy pan wie, że lady Emma jest szczególnie zaintrygowana pańskim pobytem na Tahiti i tamtejszymi damami?

– Naprawdę? – Ross zwinął ceratę w rulon i ustawił w kącie, zadowolony, że choć przez małą chwilę mógł zająć się czymś innym. – Zdumiewające, że w

Anglii prawie wszyscy chcą rozmawiać właśnie o nich.

Kordelia zaśmiała się serdecznie głębokim, niskim śmiechem.

– Wątpię, czy potrafiłabym znaleźć tę wyspę na którejś z pańskich map, nawet gdybym szukała całą noc. Ale nawet ja słyszałam historie o marynarzach, którzy jak lisy rzucają się na te kobiety, a one zachowują się jak bardzo chętne kury!

Ross uzmysłowił sobie, że on też się śmieje i właściwie tylko dlatego, że śmieje się panna Lyon.

– W takich opowieściach jest zawsze dużo przesady. Prawda, że dziewczęta z tamtych rejonów świata w porównaniu ze swoimi rówieśnikami z Londynu są wyjątkowo swobodne, nawet córka tamtejszego władcy chodzi w stroju, hm... nader skąpym. Taki po prostu ma... gust!

Kordelia znów się roześmiała. Zapewne dlatego, że wygłosił to z pewnym wahaniem w głosie.

– A nie sądzi pan, milordzie, że w następnym sezonie może taka właśnie będzie moda w Bath?

– Halki z gałęzi winorośli, staniczek z jaskrawego perkaliku i poza tym już tylko kwiatki? – Zamilkł na moment, wyobrażając sobie Kordelię, ubraną jak jedna z dziewcząt ze słonecznej wyspy Tahiti. Kordelia wyglądałaby pięknie, zdecydował, wyglądałaby prześlicznie. – U nas również ich zaloty nie zyskałyby aprobaty. Dżentelmen, starający się o rękę sztywnej i pruderyjnej angielskiej panny, zostaje poddany większej ilości prób niż koń pełnej krwi na torze wyścigowym. A dama z Tahiti niczego nie owija w bawełnę i dżentelmenowi, który przypadł jej do gustu, bez jakichkolwiek zahamowań ofiarowuje swoje wdzięki.

W świetle świec spostrzegł, jak policzki Kordelii, dalej spoglądającej pilnie w wodę, zarumieniły się lekko.

– Milordzie? A może mi pan powiedzieć, czy pan też przypadł którejś z tych dam do gustu?

– Im przypada do gustu większość angielskich dżentelmenów, po prostu dlatego, że jesteśmy inni – przyznał. – A jeśli chodzi o mnie, to chociaż te damy rzeczywiście są stworzeniami wielkiej urody, nie zaakceptowałem żadnego z miłych zaproszeń.

– Aha...

Kordelia z zadumą przesunęła palcem po powierzchni wody, przecinając swoje odbicie na pół.

– Czyli preferuje pan sztywne, pruderyjne angielskie panny...

Ross potrząsnął przecząco głową.

– Nie, wcale nie. Ja sobie w ogóle nie wyobrażam, żebym był trofeum jakichś dam.

– Nie?

Kordelia znów spojrzała na niego. Doskonale zdawała sobie sprawę, że igra z ogniem. Na razie iskrzyło się, ale te iskry w każdej chwili mogły zrodzić

płomień wysoki jak najwyższe fale oceanu. Mówiła mu rzeczy, których mówić nie powinna, a on odpowiadał, rozmowa zakrawała już na flirt między parą, którą łączy wielka zażyłość. I tym razem Kordelia nie mogła winić ani światła księżyca, ani gwiazd. Ona chciała być tutaj, z nim, i im dłużej rozmawiali, tym bardziej chciała tu być, nie wychodzić, choć powinna już to uczynić.

– Sądzę jednak, milordzie, że istniały damy, dla których był pan cenną zdobyczą.

– Damy zawsze cenią sobie dżentelmena, który przed nazwiskiem ma odpowiedni tytuł – powiedział, podwijając rękawy nad łokcie, żeby ich nie zmoczyć. Obnażone ręce były opalone na brąz i umięśnione jak ręce marynarza.

– Ale jestem pewien, że Emma nie omieszkała opowiedzieć pani, jak bezowocne były jej starania, aby mnie wyswatać. Emma uważa, że jestem przypadkiem beznadziejnym.

Znów rozległ się dźwięczny śmiech Kordelii i Ross pomyślał, jak to dobrze, że stoi daleko od niej i dzieli ich co najmniej dwanaście stóp zimnej wody. Sprawdził wielki miech, umocowany na haku u sufitu, jakby była to kuźnia, a nie biblioteka dżentelmena.

– To jest mój wiatr – powiedział, wskazując na miech zawieszony na haku pod sufitem. Widok pospolity w kuźni, ale na pewno nie w bibliotece dżentelmena. – Kiedy ustawię miech pod odpowiednim kątem względem powierzchni wody, wytworzą się fale.

Nacisnął lekko pedał, pofałdowana skóra miecha skurczyła się, z otworu powiało chłodnym powietrzem. Na początku na powierzchni wody pojawiły się małe fale. Kordelia zerknęła i na fale, i na Rossa. Podobało jej się jego skupienie, podobała jej się gra mięśni w tym rosnącym ciele, które wykonywało pracę. Naturalnie, że tak. On wcale jej nie skłamał. Pracował, pompował coraz szybciej, fale rosły, teraz z wody wynurzały się ich ostre grzebienie.

– Czyli pan rzeczywiście robi tu fale – powiedziała zachwycona Kordelia, klaszcząc w ręce. – Najprawdziwsze! Milordzie! Czy ja też mogłabym spróbować? Proszę!

Ross zawahał się.

– To wcale nie takie łatwe, jak się wydaje.

– Ale ja na pewno potrafię to zrobić. Ja wiem. Proszę, milordzie!

Kordelia szybkim krokiem obeszła kadełko i stanęła obok Rossa, gotowa do czynu.

– Muszę tylko naciskać na pedał, prawda?

– Tak. Ale proszę pozwolić pokierować sobą. Proszę ustawić nogę.

Kordelia uniosła spódnicę ponad kostki, żeby Ross mógł sprawdzić, czy stopę ustawiła prawidłowo.

– No i proszę! – zachichotała, spoglądając na swój pantofelek z wydłużonym noskiem, w czerwone paseczki, ustawiony na szerokim, drewnianym pedale. – Powinnam nałożyć moje zimowe trzewiki!

– No cóż... Ten pedał dostosowany jest do nogi kowala, a nie damy. Ale

ponieważ pani jest pierwszą damą, która przestąpiła próg mojej biblioteki, może pani sama wypróbować miech.

– Pierwszą damą... – powtórzyła, zdumiona, ale jednocześnie mile połączona. Ross objaśnił jej wszystko szczegółowo, traktując ją z szacunkiem, pełen uwagi i dla jej osoby, i jej inteligencji, tym niemniej trudno jej było uwierzyć, że nie czynił tego przedtem wobec innej osoby. A w całej trupie, oprócz ojca, nikt nawet w połowie tak jej nie traktował. Czyżby ona dla hrabiego stała się osobą szczególną? Czyżby on czuł do niej to, co ona z kolei starała się ze wszystkich sił nie odczuwać do niego?

– Naprawdę, milordzie?

– Naprawdę – powiedział. – Nigdy dotąd nie znałem nikogo, kto chciałby grać rolę syreny.

Bez pytania o pozwolenie nagle mocno objął Kordelię ramieniem, żeby chwytając się, nie zakłóciła stabilności ruchu miecha i nie zmieniła kąta jego nastawienia. Plecy Kordelii wsparły się o jego pierś, silne, muskularne nogi Rossa napierały na nogi Kordelii.

– Teraz proszę nacisnąć na pedał, żeby miech nabrał powietrza – powiedział. – Mocno! Jeszcze mocniej!

Wyczuwał jej wysiłek, kiedy naciskała nogą na pedał, skupiając się bardzo, a potem słyszał, jak westchnęła z zachwytem, kiedy pierwsze fale zmarszczyły wodę. Potem nacisnęła jeszcze raz, mocniej, fale zrobiły się większe, bardziej wyraziste.

– Świetnie – pochwalił Ross, a Kordelia wybuchnęła zachwyconym śmiechem i naciskała coraz mocniej całym ciężarem swego ciała. Fale były coraz wyższe, z grzebieniami, jak miniaturowa kipiela, i przetaczały się w drugi koniec kadzi.

– Spójrzcie! Spójrzcie! Jestem Eolem, królem wiatrów we własnej osobie! – radośnie obwieściła Kordelia dźwięcznym, donośnym głosem wymyślonej publiczności. – Patrzcie i podziwiajcie, ile we mnie siły!

Upajając się chwilą, wyrzuciła rękę w górę, uderzając niechcący w miech, który zmienił swoje położenie i fale zmieniły się nagle w fontannę.

– O, Hadesie! – krzyknęła Kordelia, umykając w bok przed chłodną wodą. – Och, milordzie, niech no pan spojrzy!

Stała sztywno, ręce opuszczone, woda skapywała z przemoczonej sukni, zmieniając się w kałużę wokół stóp Kordelii. Woda ściekała z mokrych włosów na twarz.

– Och, przepraszam, przepraszam!

Ross chwycił wielki ręcznik z pobliskiego stołka – czyżby takie wodne katastrofy zdarzały się często? – i zaczął gorączkowo osuszać twarz i ramiona Kordelii. Na jego twarzy malował się wielki niepokój i zdawał się wcale nie zauważać, że jego płócienna koszula tak przemokła, że stała się prawie przezroczysta.

– Nie powinienem był do tego dopuścić, nie powinienem...

– Cicho sza!... – powiedziała Kordelia, śmiejąc się, kiedy wielka kropla spadła z jego włosów prosto na jej nos. – Po prostu... ciiiicho!

Potrząsnął głową, pryskając wodą, jak otrząsający się mokry spaniel.

– Ale gdybym ja...

– Proszę, milordzie, niech pan będzie cicho, nic się nie stało – powiedziała Kordelia, śmiejąc się nieustannie. Wysunęła swoje ręce spod ręcznika, objęła lorda za szyję i przyciągnęła jego twarz ku swojej. – Zamierzaliśmy zrobić fale, milordzie, no i... zrobiliśmy. – Wspięła się na palce i pocałowała go, aby w końcu przestał przeproszać, no i dlatego, że chciała go pocałować.

Ross natychmiast także zaczął ją całować, a jego żarliwość równała się jej żarliwości. Dwa ciała w mokrych ubraniach przylgnęły do siebie. Dłonie milorda ześlizgnęły się po biodrach Kordelii, a jej palce wsunęły się w mokre włosy milorda. Ręka Rossa uniosła się i spoczęła na piersi Kordelii, stwardniałej już od namiętności. Jęknęła cicho prosto w jego usta, ale nie odsunęła się. Jeszcze tylko troszkę, powiedziała sobie w duchu, jeszcze tylko troszeczkę, i znów jęknęła z rozkoszy ogarniającej teraz już całe jej ciało.

Ale kiedy wysoki zegar, stojący pod ścianą, wybił jeden dostojny dźwięk, Kordelia wysunęła się z objęć milorda.

– Muszę iść – szepnęła, prawie bez tchu. – Proszę wybaczyć, milordzie...

– Nie, nie odchodź, proszę... – Jego ramię mocno ogarnęło jej kibić. – Zostań ze mną, zrobimy jeszcze więcej fal. A na imię mam Ross.

– Ross – powtórzyła Kordelia i uśmiechnęła się. – Ale jest już pierwsza w nocy, ojciec na pewno niepokoi się o mnie, zacznie mnie szukać. I mój głos musi odpocząć przed jutrzejszą próbą.

– Do diabła z próbą – wymamrotał Ross, puścił jednak Kordelię. – Do diabła z tą całą piekielną sztuką, oprócz twojej roli, oczywiście.

– Ale ta sztuka to jedyny powód, dla którego tu jestem!

– No to idź – powiedział chrapliwie. – Ale jutro wieczorem, kiedy skończycie już próby, przyjdiesz tutaj razem ze mną.

Kordelia posmutniała i spoglądając na jego przystojną twarz, mokre włosy i w ogóle wszystko, powtórzyła sobie w duchu obietnicę złożoną ojcu. Ale nawet ojciec powinien wiedzieć, że niektóre obietnice aż proszą się o to, żeby ich nie dotrzymać. Niektóre też poczynione zostają za późno.

Przedstawienie odbędzie się za jedenaście dni, Ross i Kordelia mają więc dla siebie jedenaście nocy, jeśli ona się na to odważy. Przez jedenaście nocy będzie mogła zwracać się do lorda po imieniu, do niej będą należały jego uśmiechy, pocałunki i wszystkie fale.

Może wybrać miłość przez jedenaście dni i nocy, może też wybrać rezygnację z miłości, czyli pustkę, a w konsekwencji największą z pustek – nicość.

– Tak, Ross – szepnęła żarliwie i znów obdarzyła go pocałunkiem. – Tak.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kordelia siedziała na parapecie wysokiego, otwartego okna sali balowej, popijając herbatę z miodem i mlekiem, dobrą na głos. W scenie, którą teraz rozgrywano, Kordelia nie brała udziału, mogła więc skraść kilka wolnych chwil dla siebie. Chciała rozkoszować się ciepłym słońcem, wiosennym powietrzem, przesyconym zapachem świeżo skoszonej trawy i kwiatów.

Usłyszała skrzyp kół wozu na wysypanej muszelkami drodze dojazdowej i zaciekawiona, zwróciła głowę w stronę, z której dochodził dźwięk. Ross powiedział, że tego dnia przybędą już pierwsi weselni goście, ci, którzy mieszkają najdalej. Zostaną we dworze i wyjadą dopiero po ceremonii zaślubin. Powiedział też, że mimo przybycia gości, ich wieczorne spotkanie nadal jest aktualne, ale Kordelia co do tego nie była przekonana.

Do przedstawienia pozostały trzy dni, a ona miała wrażenie, że czas mija z większą prędkością, niż przesypuje się piasek w klepsydrze. A Ross, jako pan domu, więcej czasu poświęcił zabawianiu gości niż Kordelii. Dla niej było to oczywiste i nieuniknione, świadomość tego absolutnie jednak nie była w stanie choć trochę ulżyć jej i złagodzić smętny nastrój.

Zasłonięta przez wysokie drzewa, mogła ze swego miejsca na parapecie patrzeć sobie do woli, nie będąc przez nikogo widzianą. Nasunęła więc staranniej na kolana swoją czerwoną spódnicę i trzymając filiżankę nad podołkiem, nieco bardziej wychyliła się z okna. Przed schodami z białego marmuru zatrzymywał się właśnie lśniący, zielony powóz, do którego wprzęgnięte były cztery gniadosze. Na drzwiach powozu namalowany był herb szlachetnie urodzonych właścicieli pojazdu. Kiedy lokaj pospieszył otworzyć drzwi trzem podróżnym – dwóm starszym damom i ich pokojówce – do powozu podjechał jeden konny, młody dżentelmen, też niewątpliwie należący do tego szacownego towarzystwa.

Na koniec pojawił się sam Ross, naciągający w pośpiechu frak i zbiegający ze schodów, żeby powitać miłych gości. Kordelia domyślała się, że Ross pracował właśnie w bibliotece przy swojej kadzi z wodą, nie tylko frak, ale i spodnie nosiły tego ślady. I uśmiechnęła się na wspomnienie swoich własnych wyczynów z urządzeniem do wytwarzania fal.

– A... proszę, zaczynają zjeżdżać wielcy tego świata – powiedział Alfred, również z filiżanką herbaty ustawiając się przy oknie. – Ciekawe, kto to taki. Może jakaś księżniczka albo księżna wdowa, co po księciu małżonku odziedziczyła fortunę?

– Po prostu goście Howlandów – mruknęła Kordelia i zmarszczyła nosek.
– Ile brandy jest w tej herbacie, ojczy? Ojczy, przecież jeszcze nie minęło południe!

Ojciec upił malutki łyczek.

– Musisz wiedzieć, córko, że w moim wieku potrzeba czegoś więcej niż

miód na wzmocnienie głosu.

– Szczególnie, jeśli z gospody we wsi wróciło się dopiero o świcie. – Kordelia westchnęła i potrzęsnęła głową. – Ojczy, nie dość, że sam frymarchysz swoim zdrowiem, to jeszcze ciagniesz ze sobą Ralfa w te podejrzone miejsca, a on nie ma przecież twojej wytrzymałości. Spójrz na niego. Dziś rano okazał się prawie bezużyteczny, swoją rolę nie mówi, a bełkocze.

Alfred obejrzał się na wspomnianego aktora, który rzeczywiście wyglądał bardzo mizernie. Stał przy ścianie, kryjąc się przed blaskiem porannego słońca. Twarz Ralfa była biała jak wosk, ręce wciśnięte do kieszeni, ale i tak można było zauważyć, że drżą.

– Ach, zapewne trochę słabuje, jak dama – powiedział lekceważąco Alfred. – Nie należy nim się zbytnio przejmować.

– Raczej słabuje z powodu gorączki po brandy króla Alfreda. – Kordelia przesadnie głośno postawiła swoją filiżankę na parapecie. – Ojczy, pomyśl rozsądnie! W naszej sztuce Ralf jest główną męską postacią, jest panem młodym pełnym cnót, dlatego będę ci bardzo wdzięczna, jeśli pozwolisz mu być trzeźwym i do Tawny Buck zaciągniesz go dopiero po przedstawieniu.

– Aha.... Czyli odgrywasz teraz rolę szlachetnej, cnotliwej bogini? Kto by to pomyślał... A więc, primo, moja droga, nie zaprzeczam, że zabieram ze sobą Ralfa do gospody, ale nie co wieczór. A secundo, to nie wyobrażaj sobie, że nie zauważyłem, o której to godzinie wślizgujesz się nocą do swego pokoju, nocą albo i nad ranem.

Kordelia natychmiast uniosła głowę, gotowa do obrony, rumieniec na policzkach zdradzał jednak poczucie winy.

– Nie zrobiłam niczego, co zaszkodziłoby sztuce albo skompromitowało naszą trupę!

– Ale sama trochę siebie skompromitowałaś, czyż nie tak, Kordelio?

Spojrzał ponad nią przez okno, w kierunku białych, marmurowych schodów. Wzrok Kordelii podążył za jego wzrokiem i również spoczął na Rossie.

Goście weszli już do domu, Ross nie. Stał nieruchomo, oczy miał utkwione w oknach sali balowej, jakby czuł obecność Kordelii. Kiedy ją dojrzał, jego szeroki uśmiech, pełen nieskrywanej i ogromnej radości z powodu samego widoku Kordelii, mówił sam za siebie.

– Och, Kordelio... – westchnął Alfred. – Tak mi przykro, tak mi przykro...

– Nie martw się, ojczy – powiedziała miękko Kordelia, ujmując jego starą, pomarszczoną dłoń. – Sama tego chciałam. To był wyłącznie mój własny wybór.

– Tym bardziej się martwię, dziecko. – Cofnął rękę i zbliżył swoją twarz do twarzy córki. – Pamiętaj, Kordelio! Jak tylko wystawimy to przekłete przedstawienie, odjedziesz stąd razem z nami! Wpędziłaś mnie w bardzo kłopotliwą sytuację, ale już więcej mi wstydu nie przyniesiesz, i to jeszcze w taki sam sposób, jak zrobiła to twoja matka!

– Ojczy! Ja nie jestem taka jak ona! Przysięgam! Jak miała mu wytłumaczyć, że Rossa i ją połączyło coś więcej niż tylko namiętność i pożądanie. I że oboje podjęli decyzję, że nie uczynią tego ostatecznego kroku kochanków?

– Już wcześniej coś mi obiecałaś. Twoje przysięgi niewiele są warte.

– Ojczy, ale zrozum, z Rossem połączyło mnie coś szczególnego. Kiedy jestem z nim, zapominam o wszystkim, o tym, że Ralf nie umie na pamięć swojej roli, że Gwen ostrzy sobie na mnie język. Ross rozmawia ze mną, ojczy, jak... jak... Traktuje mnie tak, jakbym była tak samo mądra jak on. Opowiada mi różne ciekawe rzeczy... Na przykład o tym, jak księżyc rządzi przypiływem i odpływem, jak nazywają się królowe na Fidżi, jaka jest różnica między ciosem narwala* [* Narwal – jeden z ssaków rybokształtnych, przystosowanych do życia w toni wodnej. Długość ciała 4-6 m. Samiec narwala w górnej szczęce ma tylko dwa siekacze, lewy siekacz zwykle rozwija się w cios, osiągając długość 2 – 3 m. Służy jako broń i do płoszenia ryb. Ciosy narwala od dawien dawna znajdowano na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego, co dało początek mitowi o jednorożcu.] a rogiem jednorożca...

– Kordelio! Mam nadzieję, że rozmawiałaś z Gwen albo z jakąś inną kobietą o... sprawach delikatnych, o tym, jak kobieta powinna się chronić... Do diabła! Kordelio! Nie chcę mieć na głowie jeszcze jednej gęby do wykarmienia, czyli szlacheckiego bękarta, drącego się w naszym wozie.

W oczach Kordelii zakręciły się łzy, z trudem zapanowała nad głosem.

– Ojczy, proszę, nie mów takich rzeczy, nie o mnie, i nie o Rossie!

– Ross... – wymamrotał ojciec.

Kordelia nigdy jeszcze nie słyszała, żeby jeden wyraz zawierał w sobie tyle pogardy. A na pewno nie słowo wymówione przez ojca.

– Kordelio! On jest hrabią Mayne, zawsze będzie hrabią, tak jak ty zawsze będziesz Kordelia Lyon, dla niego osobą stanu niższego! Zapomniałaś, kim byliśmy dla niego na początku? Hołotą o najgorszej reputacji, Cyganami, którzy chcieli go tylko ograbić!

– Ale, ojczy! Ja...

– Mówisz, że nie chcesz szkodzić trupie, a już to zrobiłaś, zadając się z tym człowiekiem. I, na Boga, Kordelio, czy wiesz, jak mnie zraniłaś?!

Z rozmysłem odwrócił się od niej i zanim Kordelia zdążyła coś odpowiedzieć, odszedł do pozostałych aktorów. Plecy przygarbione, krok ociężały. Kordelia zasłoniła ręką usta, żeby stłumić szloch i znów spojrzała przez okno na Rossa, który nadal stał przed białymi schodami i osłaniając oczy przed słońcem, patrzył w okno, w którym siedziała Kordelia.

Czekał, żeby spojrzała na niego jeszcze raz, nieświadomy, co zaszło między nią a Alfredem. A kiedy zauważył, że Kordelia znów patrzy na niego, uśmiechnął się. Jego uśmiech był bardziej promienny niż słońce. I pomachał Kordelii, szeroko, zamasyście, nie dbając o to, że ktoś może to zauważyć.

Powoli podniosła rękę i też pomachała, jej uśmiech był drżący, bo przez łzy. Ale przecież przez te kilka dni Ross uczynił ją szczęśliwą, czyż nie tak? Szczęśliwą?

– Powiedz mi no, kuzynie – odezwał się czcigodny James Kelty, zniżając konfidencyjnie głos, kiedy razem z Rossem przemierzał dwór, podążając do swego pokoju. – Któż to jest ta urocza bestyjka w oknie, której machałeś tak gorliwie?

– A... widziałeś damę w oknie? – spytał Ross z ociąganiem. Drogi kuzyn James, jeszcze kiedy uczęszczał do szkół, ujawnił swoje nadzwyczajne upodobanie do wdzięków niewieścich, za cel swego życia stawiając sobie podbój całej angielskiej płci pięknej. Ross zdawał sobie sprawę, że Kordelię stanowczo trzeba usunąć temu dżentelmenowi z drogi. – Musiałeś widzieć Emmę.

– Byłoby tak, gdyby Emma ze srebra zmieniła się w szczerę złoto! – James klepnął Rossa po ramieniu. – Bądź mi prawdziwym przyjacielem i zdradź, kim jest owa dama.

– Jest tu... z racji ślubu.

– Aha. Czyli jeszcze jeden gość weselny. I zdobycz łatwa – oświadczył James, gotów już ruszać na łowy. – Czy ona jest z naszego hrabstwa, a może to przyjaciółka Emmy ze szkół?

– Nie poznasz jej, James. Ona jest spoza naszej sfery, całkowicie... A wiesz, James, że Emma bardzo się cieszy na spotkanie z tobą, choć muszę cię ostrzec, że ona przed tym swoim ślubem po prostu szaleje.

James przystanął, zmrużył oczy, w których widać było chytre podejrzenie.

– Ejże, mój drogi! Czyżbyś ty już postawił na tę klaczkę? Trudno w to uwierzyć, zawsze uważałem, że prędzej przeżujesz swoją własną nogę niż wdasz się w amory z jakąś ładną dziewczynką. Ale cóż, nawet zatwardziały stary kawaler potrafi się zmienić. Zdarza się to, co prawda, raz na tysiąc lat, ale się zdarza.

– No dobrze, James. Postawiłem, jak ty to mówisz, na tę klaczkę! – powiedział Ross, nie kryjąc irytacji. – I będę wdzięczny, jeśli będziesz trzymał się od niej z daleka!

James podniósł obie ręce, na znak, że się poddaje.

– W porządku, Ross. Nie będę wchodził ci w paradę. Ale imię damy mógłbyś mi zdradzić.

Ross zabębnił palcami po blacie stojącego w pobliżu kredensu.

– Ona nie jest damą. To... aktorka.

– Aktorka?! – Jamesowi literalnie opadła szczęka. – Trzymasz tu sobie w Howland Hall jakąś aktoreczkę? Błazenada! Twoja matka porządnie zmyłaby ci za to głowę!

– To nie jest tak, jak myślisz – powiedział szybko Ross. – Ona należy do wędrownego trupy, która wystawi przedstawienie, aby uhonorować zaślubiny Emmy z Weldonem.

– Cóż za cudowny zbieg okoliczności! – wykrzyknął James. – Masz swoją pieśzcotkę dla zabawy przez cały tydzień, czy coś około tego, a potem

ona odjedzie sobie stąd, zanim się nią znudzisz, bez żadnych łez i narzekań z jej strony, które zepsułyby ci cały dzień!

– Wystarczy, James! – Głos Rossa był tak ostry, że James aż się cofnął. – Nie będziemy rozmawiać w ten sposób.

– Ross, powiedziałem już, że nie chcę wchodzić ci w paradę. Ale jeśli ona jest tylko aktorką, żadną damą i...

– Ostatnie drzwi na prawo, tam jest twój pokój – powiedział Ross, ostrość jego głosu zakrawała już na groźbę. – Kolację podają o siódmej.

Ross odwrócił się i wyszedł, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Prawie trząśł się z gniewu, sam był zszokowany intensywnością swego wzburzenia. Bo James, nieświadomie, ubrał w słowa to, co Ross już czuł i czego również się bał.

Nadejście dzień, kiedy Kordelia wsładzie do wozu swojej trupy, odjedzie razem z innymi. Zniknie z życia Rossa na zawsze. Ross utraci przyjaciółkę, ukochaną kobietę, swoją mużę, swoje natchnienie. Bo tym wszystkim w ciągu tych kilku dni stała się dla niego Kordelia. Była taka mądra, namiętna i nieprzewidywalna. W ciągu kilku dni wypełniła pustkę w jego życiu, której istnienia wcale nie podejrzewał. I zainteresowanie Kordelii, jej krytyczne uwagi i pytania powodowały, że jego praca posuwała się w zadziwiającym tempie.

Od początku jednak Kordelia postawiła sprawę jasno. Nie ma dla nich wspólnej przyszłości. Los zetknął ich ze sobą i los ich rozdzielił, a potem śmiała się, wzruszała ramionami i recytowała kolejny fragment ze sztuki pana Szekspira, jakby to miało rozwiązać wszystko.

I, do diabła! Nie rozwiązywało to niczego!

Świeżo poślubiona para – Kordelia, z nogami ustawionymi we wdzięcznej pozycji tancerki i ręką spoczywającą na ramieniu oblubieńca – stoi przed Alfredem, bogiem rozkoszy małżeńskich, który udziela im swego błogosławieństwa.

Ostatnia scena, po niej już tylko pocałunek młodych i przy słodkich dźwiękach skrzypiec aktorzy zginają się w ukłonie. Koniec przedstawienia.

I choć na twarzy Kordelii rozkwitał radosny uśmiech oblubienicy, każde słowo Alfreda, sławiące miłość i szczęście, kłuło gorzką ironią. Gdyby Ross był jednym z aktorów, czy ojciec dałby im swoje błogosławieństwo? Albo gdyby Kordelia urodziła się w równie wspaniałym domu i jej miejsce byłoby nie na scenie, lecz wśród wytwornej widowni...

Spojrzała na ławkę, na której siedziała Emma z Weldonem. Dokładniej, Emma siedziała na kolanach Weldona, całowali się namiętnie, nawet ze sceny słychać było bezwstydnego, rozkosznego pogruchiwanie Emmy. Wydawało się, że tych dwoje to ludzie jeszcze bardzo młodzi, Kordelia wątpiła nawet, czy Weldonowi puścił się już zarost – ale wyglądało również na to, że para ta zakochana jest w sobie do nieprzytomności. A ponieważ zabrakło matki, która zadbałaby o dobre obyczaje, zapomniano jakby, że teraz, do chwili gdy rozpocznie się ceremonia, państwo młodzi nie powinni być razem. Swobodne

zachowanie Emmy i Weldona upewniało Kordelię w przekonaniu, że ta para gołąbków noc poślubną ma już za sobą.

Jak to jest, kiedy ma się tyle radości i taką swobodę! Czy oni zdają sobie sprawę, jaki mają luksus, że mogą bez ograniczeń iść za głosem serca, żyć wedle własnej woli, a dzieciątko poczęte przez nich, oczekiwane będzie z największą radością, kochane i ma zapewnione bezpieczne miejsce na tym świecie.

– Kordelio... Pocałuj że mnie... – szepnął Ralf przez zaciśnięte zęby, usta, naturalnie, wykrzywił w sztucznym uśmiechu. – No i kto tu jest zapominalski...

Pocałowała go szybko, ledwo muskając ustami jego wargi. Ross skutecznie odebrał jej chęć do całowania kogokolwiek innego, nawet chęć do markowanych, scenicznych pocałunków, a już szczególnie z takimi aktorami, jak Ralf Carter.

– Radość i fanfary! Wiwat! Wiwat! Wiwat!

– zakrzyknął Alfred, klaszcząc w dłonie i uśmiechając się do wszystkich. Wszystkich, oprócz Kordelii, tak przynajmniej jej się zdawało. – Poszło nieźle, możecie być z siebie zadowoleni. Teraz chwila wytchnienia, spotykamy się za godzinę.

Kordelia zaklaskała razem z innymi, po czym odwróciła się od wszystkich. Mimo że nikt nie ośmielił się o tym wspomnieć, była pewna, że wszyscy podsłuchali jej rozmowę z ojcem przy oknie. W trupie na ogół nie miano przed sobą sekretów, teraz jednak Kordelia nie chciała współczucia ze strony Gwen ani nikogo innego. Straciła poczucie przynależności do trupy. Nie należała już do nich, miała uczucie, że nie należy już do nikogo. Chciała tylko jednego. Być sama ze sobą, dlatego z opuszczoną głową pośpieszyła do drzwi.

– Kordelio! – usłyszała za sobą głos Rossa.

– Jakież to demony cię ścigają?

Jej uśmiech był bardzo nikły. Wzruszyła ramionami i odezwała się głosem raczej niechętnym.

– A ty nigdy nie przychodziłeś na próby w ciągu dnia.

Ross zamknął oczy, położył dłoń na sercu, tak jak to czynił Ralf.

– Miłość rozświetla moje serce, jakże mam nie być przy swojej ukochanej!

– Trudno mi uwierzyć, że zapamiętałeś te moje wypociny!

– Słuchałem ich wystarczającą ilość razy, czyż nie tak? – Wyciągnął rękę i odgarnął z jej czoła pasmo włosów. – Zawsze byłem szybki w uczeniu się na pamięć. W szkole najszybciej z całej klasy wyuczyłem się na pamięć pierwszej księgi „Iliady”.

Kordelia z rozmysłem starała się, aby jej głos brzmiał jak najpogodniej, tak jak Rossa. Nie chciała psuć tych ostatnich wspólnych dni, ani przez rozpamiętywanie wymówek ojca, ani zapamiętując się we własnym nieszczęściu.

– Któż więc to odciągnął cię dzisiaj od pracy? Hektor czy Achilles? –

spytała. – Czy to oni będą kozłami ofiarnymi, jeśli nie dokończysz dziś swojej rozprawy naukowej?

– Żaden miecz starożytnego wojownika nie dorówna twej potędze, Kordelio...

Uśmiech znikł z twarzy Rossa, jego dłoń spoczęła na ramieniu Kordelii.

– Pragnę spotkać się z tobą, Kordelio. Nie chcę czekać do wieczora. Musimy porozmawiać jak najszybciej, zanim...

– Proszę wybaczyć, milordzie, chciałbym przejść – powiedział Ralf, próbując wcisnąć się między nich. Był przeraźliwie blady, oczy płonęły mu niezdrowym blaskiem. – Nie czuję się dobrze. Ja muszę... muszę...

Nie dokończył. Nogi ugięły się pod nim, zaczął osuwać się na ziemię. Ross w ostatniej chwili chwycił go w pól i pociągnął do jednej z ławek, ustawionych w sali balowej.

– Co się stało, Kordelio? – zawołał zaniepokojony Alfred. – Co z nim?

Kordelia szybko rozpięła Ralfowi kołnierzyk.

– Nie wiem, ojczu. Zdążył tylko powiedzieć, że nie czuje się dobrze i omal nie upadł. Nie powinieneś być wczoraj wieczorem...

– Nie wypił ani jednej kropli, przynajmniej w mojej obecności. – Alfred z zasepioną twarzą położył rękę na czole Ralfa. – Niedobrze. Biedak jest rozpalony.

– W miasteczku jest bardzo dobry medyk, doktor Graham – powiedział Ross. – Zaraz poślę po niego lokaja. Pan Carter znajdzie się w dobrych rękach.

– Dziękuję, milordzie, proszę się nie fatygować – powiedział Alfred, krzyżując ramiona na piersi.

– Wdzięczny jestem za pańską troskę, ale nam medyk niepotrzebny. Sami zadbamy o Ralfa.

Kordelia, nie wypuszczając z ręki dłoni Ralfa, podniosła głowę.

– Ależ, ojczu! Medyk na pewno będzie lepiej wiedział, co mu dolega!

– Zawsze sami troszczymy się o siebie, córko! Nam, aktorom, niepotrzebna dobroczynność ich lordowskich mości.

Ralf jęknął, obracając głowę na wszystkie strony. Nadbiegła Gwen z filizanką pełną wody.

– O, już czuje się lepiej – powiedział Alfred.

– Zabierzemy go do domku koło bramy wjazdowej, odpocznie sobie i dojdzie do siebie. Obiecuję panu, milordzie, że Ralf podczas przedstawienia będzie w jak najlepszej kondycji!

Ross zasepił się. Kordelia wstała szybko i stanęła obok niego.

– Dla mnie zdrowie człowieka jest ważniejsze niż sztuka – powiedział Ross. – Niezależnie od tego, co pan sądzisz, panie Lyon!

W pierwszej chwili Alfred zmilczał. Cisza trwała jednak niedługo. Stary aktor skłonił się, czyniąc ręką ozdobny gest.

– Jestem człowiekiem bardzo giętkim, milordzie! – powiedział, rzucając znaczące spojrzenie na Kordelię. – Potrafię zaakceptować wszystko, co musi

być zaakceptowane. Ale w przeciwieństwie do tych, co kuszą los i sami ściągają na siebie nieszczęście, potrafię zadbać o swoją trupe i utrzymać ją przy życiu. I dziękuję Stwórcy, że tą przezornością mnie obdarzył!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kordelia podsunęła krzesło bliżej łóżka chorego, usiadła prościutko i złożyła ręce na podołku.

– Ralfie, jak twoje gardło?

– Gorzej – wychrypiał. Podciągnął się wyżej na poduszkach i przytknął palce do gardła. – Jest okropnie.

– Przykro mi to słyszeć.

Kordelia westchnęła. Alfred stał twardo na stanowisku, że Ralf do przedstawienia wydobrzeje. Próby trwały nadal, Ralfa po prostu ktoś zastępował, kończono stawianie dekoracji, ustawiono nawet rzędy krzesel dla widzów. Do chorego aktora Alfred w ogóle nie zaglądał, beztruosko powierzając pieczę nad nim swojej córce. Kordelia posłała do wioski po aptekarza, który stwierdził poważne zapalenie gardła. Z wzrastającym niepokojem patrzyła, jak aptekarz puszcza Ralfowi krew, po czym podaje mu jakąś cuchnącą miksturę, ponoć napar z malw na przeczyszczenie. Kiedy wreszcie wyszedł, zostawił biednego Ralfa w jeszcze gorszym stanie niż przedtem.

Przedstawienie miało się rozpocząć za niecałe dwadzieścia godzin, a pan młody, główny bohater sztuki, nadal był zbyt słaby, żeby utrzymać się na własnych nogach czy cokolwiek powiedzieć normalnym głosem. Tym niemniej Alfred, Gwen, Tom i jeszcze kilku członków trupy podążyli do Tawny Buck, aby, jak to sami wyrazili, napoić swoją muzę.

– Przepraszam, Kordelio – szepnął z wysiłkiem Ralf, jego mizerna twarz była pełna najgłębszego smutku. – Przepraszam.

– To nie twoja wina, Ralfie – powiedziała i pogłaskała chorego po rękę, zmuszając się do uśmiechu. – I nie martw się, trupa Alfreda Lyona nigdy jeszcze nie odwołała żadnego przedstawienia, i to z żadnego powodu. I nie mam zamiaru teraz tego zmieniać.

Brwi Ralfa uniosły się, wyrażając największe zdumienie.

– Ale jak, Kordelio?

– Jakoś to zrobimy, Ralfie – powiedziała, zdecydowana okazywać teraz największą beztruoskę. – Zawsze nam się to udawało.

– Ross? Czy słyszałeś, co się dzieje z moją weselną sztuką? – spytała Emma, obracając swoją bransoletką wysadzaną perłami coraz szybciej, w miarę jak rosło jej zdenerwowanie. – Ja wiem, że ty o czymś wiesz. Czy ja w końcu będę miała swój „Triumf miłości”, czy nie?

Ross nachylił się nieco bardziej do lustra i skrzywił się, wsadzając palec za kołnierz koszuli. Pociągnął mocno. Wiedział, że nie powinien niczego tu poprawiać, skoro jego służący owinał już precyzyjnie białą chustę wokół jego szyi. Niestety, ta piekielna chusta po prostu go dusiła.

– Wiem tyle, że sztuka zostanie odegrana, tak jak zostało ustalone –

powiedział. – I nie ma powodu, żeby w to nie wierzyć.

– Ale wczoraj sam widziałeś, co się stało z aktorem, który gra mojego Weldona! – Emma uczyniła kilka nerwowych kroków po dywanie w sypialni Rossa.. – Zachorował i to okropnie, może nawet już nie żyje, tylko nikt nie chce mi o tym powiedzieć!

– Emmo, zaręczam, gdyby nie daj Boże coś takiego się wydarzyło, na pewno by nas o tym powiadomiono – powiedział Ross, starając się choć o cal rozluźnić piekielną chustę. – Jestem pewien, że ten aktor czuje się już wyśmienicie.

– Ale dzisiaj nie przyszedł do sali balowej na próbę! – mówiła Emma, a jej głos przechodził już w histeryczny krzyk. – Poszłam tam i widziałam to na własne oczy! Nie było ani jego, ani Kordelii, a przecież oni oboje grają mnie i Weldona!

– Histeria nic tu nie pomoże, Emmo!

On, naturalnie, też zauważył, że Kordelia nie pojawiła się dzisiaj we dworze, tak samo jak wczoraj wieczorem nie pojawiła się w jego bibliotece. Cały dwór pękał już w szwach od tłumy członków rodziny i gości weselnych, jego własna siostra wychodziła za mąż, a on był w stanie zastanawiać się tylko nad jednym. Dlaczego, do diabła, Kordelia Lyon znika, kiedy on jest właśnie gotów prosić, żeby pozostała.

– Może oni po prostu odpoczywają, nie chcą forsować głosów przed przedstawieniem.

– Och, Ross! A ja mam przeczucie, że potwornie się rozczaruję!

Zdenerwowana Emma przystanąła obok brata, chwyciła go kurczowo za rękaw i zrobiła swoją najbardziej tragiczną minę, doskonale widoczną teraz w lustrze.

– Ślub powinien być momentem niepowtarzalnym, najdoskonalszym, najwspanialszym w życiu damy. A mój ślub będzie zepsuty, bo nie będę miała mojej sztuki weselnej!

– Cicho, Emmo, proszę, uspokój się – powiedział, starając się, aby jego głos zabrzmiał surowo, ale jednocześnie kojąco. – Będiesz miała czerwone oczy i nos jak rzepa i kiedy zejdziesz na dół na kolację, nasi goście gotowi zacząć się zastanawiać, czy ty aby na pewno masz ochotę wyjść za biednego Weldona!

– Mój nos wcale nie będzie wyglądał jak rzepa, Ross, i ja na pewno chcę poślubić mojego ukochanego Weldona. – Emma żałośnie siąknęła nosem i przewróciła oczami, aby mocniej podkreślić dramatyzm swojej wypowiedzi. – Ale ty obiecałeś mi „Triumf miłości”, to miał być nadzwyczajny prezent ślubny, a teraz wszystko ma być popsute!

Ross wziął ją mocno za ramiona i odwrócił ku sobie, żeby słodka siostrzyczka skoncentrowała się przede wszystkim na nim, a nie na swoim odbiciu w lustrze...

– Posłuchaj mnie, Emmo. Nic nie będzie zepsute. Wszystko będzie

dobrze.

Emma znów demonstracyjnie pociągnęła nosem, po czym osuszyła kąciki oczu chusteczką obszytą koronką.

– W takim razie dotrzymaj swojej obietnicy, Ross. I upewnij się, że ja będę miała swój „Triumf miłości”!

Ross skinął głową, myśląc jednocześnie, jaka to będzie ulga, kiedy ślub już się odbędzie.

– Zawsze dotrzymywałem danych ci obietnic, prawda?

– Tak, zawsze! – Emma skwapliwie przytaknęła głową. – W takim razie poszukaj Kordelii i spytaj, co się dzieje.

– Dobrze, złotko, zrobię to. I obiecuję, że dołożę wszelkich starań, aby wszystko było w porządku.

Dołoży jeszcze starań w innej sprawie, ale o tym... sza, teraz się tylko modli w duchu, żeby te starania były również po myśli Kordelii...

Kordelia wolnym krokiem szła po trawniku, ciągnącym się wzdłuż drogi dojazdowej, kiedy znów minął ją jakiś powóz, pełen wytwornie ubranych ludzi. Koła powozu wzbijały żwir z muszelek, kilka białych kamyczków upadło koło stóp Kordelii. Nigdy dotychczas nie widziała jeszcze dworu tak uroczystego. W środku płonęło tyle świec, że dwór wydawał się jedną wielką latarnią.

Wieczór był ciepły, wiosenny, wszystkie okna otwarte na oścież, słychać było gwar, śmiech i dźwięki muzyki. Mała orkiestra zaczęła już przygrywać weselnym gościom. Kordelia przypomniała sobie, że lady Emma mówiła o wielkim przyjęciu, które będzie częścią ceremonii zaślubin, ale Kordelii trudno było wyobrazić sobie coś jeszcze bardziej uroczystego niż ten jasno oświetlony dwór.

Podchodząc bliżej do frontowych drzwi, przystanąła na moment, nagle boleśnie świadoma swej bardzo skromnej płóciennej żółtej sukni. Powinna porozmawiać z Rossem, ale dla niej nie było miejsca wśród tych ludzi wkraczających po marmurowych schodach. Ludzi dostojnych, wytwornych, wokół ich szyi i nadgarstków lśniły klejnoty. Gdyby Kordelia chciała teraz wejść przez frontowe drzwi, lokaj zapewne by jej nie wpuścił. Ale drzwi do biblioteki Rossa – te na pewno będą dla niej otwarte. Przez te drzwi wchodziła razem z Rossem co wieczór.

Obeszła dom i wkroczyła na ścieżkę prowadzącą przez ogród pod bibliotekę. Za oknami biblioteki było ciemno, widocznie Ross dziś nie pracował, był gdzieś we dworze i zabawiał gości.

Weszła jednak po schodkach i przyłożyła twarz do szyby. W mroku rozpoznała biurko, jak zwykle zawalone, dostrzegła cios narwała, pod ścianą majaczyła kadź z wodą do robienia fal. I dojrzała ławkę, zarzuconą poduszkami, na której przesiadywali godzinami, rozmawiając i całując się...

Teraz to wszystko majaczyło w mroku, jak przedmioty ulepione z wosku, same sprzęty, bez ludzi. Obraz, który na zawsze zachowa w pamięci. Za dwa dni

trupa wędrownych aktorów opuści Howland Hall, będzie to dla niej wystarczająco bolesne, i jakby nie dość tego, dziś musi powiadomić milorda, że trupa zmuszona jest odwołać przedstawienie. Ross na pewno będzie zły... będzie zły z powodu rozczarowania siostry, tak zły, że na pewno nie będzie chciał się z nią pożegnać.

Zmusiła się, żeby oderwać w końcu twarz od szyby. Odwróciła się, owinęła sobie ręce końcami szala i stała bezradnie. Co robić? Może podejść do kuchennych drzwi i poprosić którąś z pokojówek albo lokaja, aby przekazał Rossowi liścik, w którym poprosi go o spotkanie? O spotkanie, któremu milord może nie będzie chętny, ale...

– Kordelio?

Skrzypnęły przeszklone drzwi. Nie zdążyła się odwrócić, kiedy silne ramiona objęły ją mocno, jakby nigdy nie miały jej puścić.

– Och, dziewczyno! Wpadłem po książkę, którą jeden z dżentelmenów chce sobie przejrzeć przy śniadaniu. Nie marzyłem, że ciebie tu zastanę!

– Och, Ross, Ross... – wyszeptała, wtulając głowę w jego ciepłe ramię. Jej poczucie szczęścia zmacone było tym, co miała mu przekazać. – Ross, musimy porozmawiać, ja... och, Boże... mam dla ciebie fatalną wiadomość.

– Naprawdę?

Puścił ją od razu. Jego twarz zrobiła się poważna. Podeszedł do biurka i zapalił świecę. Wyglądał niezwykle przystojnie w ciemnym fraku i białej kamizelce, ozdobionej na brzegach złocisto-srebrzystym haftem.

– Proszę, wejdź, Kordelio, usiądź i powiedz, cóż to za fatalna wiadomość.

Kordelia nie usiadła obok niego, lecz na krześle, ustawionym przed biurkiem. Potrzebowała teraz tej dzielącej ich przestrzeni blatu.

– To wiadomość najgorsza, Ross. Ralf Carter ma okropne zapalenie gardła i chociaż aptekarz puścił mu krew, Ralf nadal nie może mówić. Jest bardzo słaby, w ogóle nie może wstać i... – Kordelia zamilkła, zrobiła głęboki wdech. Tyle włożyła starań w tę głupią sztukę, a efekt tych starań jest tak żalotny! Och, jak ona nienawidziła tej myśli! – Z tego powodu trupa Alfreda Lyona zmuszona jest z wielkim żalem... Och, Ross! Musimy odwołać to przedstawienie!

Wstrzymała powietrze, prawie pewna, że Ross odpowie tak jak Alfred. Wykrzykując przekleństwa, uderzając pięściami, gdzie popadnie, nie wspominając o ciskaniu zastawą stołową.

Ale Ross nie był Alfredem. Ross tylko ściągnął brwi, bardziej dlatego, że się nad czymś zastanawiał, a nie z gniewu.

– Nie macie żadnego zastępstwa?

– Niestety. Ojciec mówi, że nie jest w stanie utrzymywać darmozjadów, dlatego jesteśmy trupą niewielką. Dotychczas nie było żadnych perturbacji. A teraz... teraz ojciec uważa, że nikt inny nie udźwignie ciężaru tej roli.

Palce Rossa bębniły miarowo po brzegu biurka, migoczące światło jedynej świecy padało na jego twarz.

– Czyli co? Jeszcze tego wieczoru spakujecie wszystko do tego waszego wozu i znikniecie stąd? Czy tak nie robi wiele wędrownych trupów – Ale nasza nie, Ross! My nie postępujemy tak bezwstydnie, a już nigdy nie postąpilibyśmy tak wobec ciebie!

– Pojmuję! – Na twarzy Rossa niespodziewanie rozkwitł uśmiech. – Wobec mnie jesteście uczciwi. Nawet jeśli tego nie oczekiwałem ani na to nie zasłużyłem.

Kordelia czujnie podniosła głowę.

– Ross, pojmujesz, że ja nic na to nie mogę poradzić. Jest mi tak okropnie przykro, że lady Emma będzie rozczarowana.

– Może nie musisz... – Uśmiech Rossa stał się jakby trochę nieśmiały. – Powiem ci otwarcie, moja miła! Znam każdą linijkę z roli pana Cartera, przyglądałem się przecież waszym próbom. Czy zaufasz mi na tyle, że pozwolisz mi powtórzyć te linijki przed publicznością i w ten sposób wystawimy sztukę dla mojej siostry?

– Ależ... Ross! – Kordelia zaniemówiła na dłuższą chwilę. – Ty? Ross! Jesteś hrabią, uczonym, dżentelmenem o nieskazitelnej reputacji. Masz zamiar stanąć na scenie razem ze zwykłymi aktorami i zagrać przed weselnymi gośćmi, narażając na szwank swoje dobre imię? Dlaczego, Ross? Dlaczego?

– Dlaczego? – Wzruszył lekko ramionami i znów uśmiechnął się, nieśmiało i rozbijając.

– Żeby oszczędzić siostrze rozczarowania, to na pewno, ale przede wszystkim, mówiąc szczerze, zdecydowany jestem zrobić z siebie osła, ponieważ chcę wyrzucić na tobie wrażenie.

Kordelia z wielkiego niedowierzania aż zakryła sobie dłonią usta.

– Ross? Chcesz to uczynić z mojego powodu?

– Jej głos zaczynał się załamywać. – Dla mnie?!

– Na litość boską, miła moja, nie płacz! – Pospieszenie obszedł biurko i objął Kordelię. – Oszczędzaj łzy na tę chwilę, kiedy zacznę mówić swoją rolę!

Kordelia siąknęła w podaną jej usłudze chustkę.

– Chcesz to zrobić dla mnie... och, Ross, nie mogę w to uwierzyć!

Zaśmiał się i przyciągnął ją mocniej do swojej szerokiej piersi.

– Moje serce, pełne pragnień i tęsknoty, już nie moje, a oddane ci bez reszty. O miła ma, najmilsza, tyś jego królową! Jam twój, jam w twojej mocy, nawet gdy los nas rozłącza...

– Jakże mam nie płakać! – Uniosła ku niemu zalaną łzami twarz. Nieważne, że powiedział to sucho, bez żadnego uczucia, jakby wypowiadał jakąś formułę matematyczną. Ale zrobił to dla niej. Och, Boże, jak puste będzie jej życie, gdy zbraknie w nim Rossa! – Mówisz moje własne słowa, bez zająknięcia, inaczej niż biedny Ralf. Robisz to, żeby zdobyć moją przychylność... Och, Ross, proszę, pocałuj mnie, pocałuj mnie natychmiast!

W mgnieniu oka jego usta odnalazły jej usta, tak samo głodne jak jego własne. Pocałunek był twardy i wymagający, jakby nie zapominał, że czasu dla

nich obojga zostało już niewiele. Kordelia przylgnęła do niego całym ciałem. Chciała go czuć przy sobie, czuć całego. I chciała więcej. Drżącymi palcami zsunęła z jego ramion frak, rozpięła guziki kamizelki, która opadła na podłogę obok fraka.

Nie przerywając pocałunku, Kordelia wyciągnęła koszulę z jego spodni i wsunęła dłonie pod białe płótno, żeby poczuć nagą, ciepłą skórę. Zdążyła się już nauczyć, że ciało lorda jest rosłe i muskularne, jakby należało do marynarza, a nie do człowieka uczonego. A ona uwielbiała głaskać jego barczyste plecy. Teraz jej dłonie przemknęły po wypukłościach mięśni, i dalej w dół, zatrzymały się przy pasku obcisłych spodni. Ross jęknął i jednym gwałtownym ruchem ściągnął przez głowę koszulę. Drugim ruchem ręki, równie gwałtownym, usunął z blatu biurka swoje papiery i książki.

Silne ramiona ujęły jej kibić i posadziły ją na brzegu lśniącego blatu. Znow zaczął całować jej usta i szyję, a jego niecierpliwe dłonie zsuwały rękawy sukni z jej ramion. Miękki muślin nie stawiał oporu, zsunął się i z ramion, i z piersi. Kordelia westchnęła, zaskoczona, i nie przestawała wzdychać, teraz już z rozkoszy, kiedy gorące wargi Rossa pieściły jej piersi.

Zamknęła oczy, odchyliła głowę, żeby lepiej odczuwać słodkie doznania.

– Och, Ross, dlaczego ty...

– Kordelio, Kordelio – zaszeptał, nie przerywając pieszczot. – Ja naprawdę się przestraszyłem, że znikniecie nagle nocą, że odjedziesz bez słowa pożegnania.

– Jakżebym mogła! Ross! – Palce Kordelii głaskały delikatnie jego szeroką pierś. – Nigdy nie odjechałabym, nie pożegnawszy się z tobą!

– I nigdy tego nie rób...

Ciepłe dłonie Rossa wsunęły się pod spódnicę Kordelii, dotknęły nagiej skóry ud tam, gdzie nie było już pończoch i podwiązek.

– Zostań, Kordelio. Zostań ze mną w tym domu.

– Ross, co... co ty mówisz – wymamrotała, próbując pomyśleć przytomnie, w tym momencie jednak, z racji poczynań Rossa, było to niemożliwe. Jego dłonie wędrowały coraz wyżej, słyszała jego zdławiony szept:

– Proszę, zostań ze mną dziś na całą noc... Jeśli zostanie, będzie tym, o czym mówił ojciec.

Igraszką bogatego lorda. Będzie skazana na powtórzenie szaleństwa matki. Postąpi nikczemie, zdradzi sztukę, zamieni talent, który mogłaby wykorzystać na scenie, na inny sposób zarabiania pieniędzy – leżąc na plecach... Niestety, ludzie tak dosadnie to określają. Jednym słowem, postąpi tak, jakby chciała potwierdzić powszechne złe mniemanie na temat morale aktorek.

Ale to był Ross, jej Ross. I nic innego się nie liczyło. On ofiarowywał jej jedną noc, ale noc szczególną, a ona pragnie tej nocy.

– Tak, Ross. Zostanę z tobą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trawa była mokra od porannej rosy, kiedy Kordelia wracała do małego domku przy bramie wjazdowej. Nie spodziewała się, że ta noc minie tak szybko. I będzie tak namiętna. Nie mogła powstrzymać drżącego uśmiechu, kiedy pomyślała o Rossie i tych wszystkich cudownych, słodkich eksperymentach, które tej nocy wspólnie przeprowadzali w jego bibliotece.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, zsunęła wilgotne od rosy trzewiki i jak najciszej zaczęła wchodzić po schodach. Spodziewała się, że o tej porze reszta trupy będzie jeszcze w łóżkach, z Alfredem na czele, zawsze chrapiącym najgłośniej. Ku jej zdumieniu, drzwi pokoju otwarte były na oścież. W nikłym świetle świec, dopalających się na parapecie okiennym, spostrzegła Gwen i kilku jeszcze członków trupy, otaczających szczelnie łóżko chorego. Kordelia zamarła, pełna najgorszych przeczuć.

– No, proszę – rozległ się drwiący głos Alfreda.

– A kogóż to mleczarz przywiózł dziś rano razem ze śmietanką?

Otulony w swój czarny płaszcz, spoglądał na córkę, ale na jego twarzy nie było ani cienia uśmiechu.

– Zdaje się, że spędziłaś rozkoszną noc z dała od swojego łóżka?

Kordelia zarumieniła się, jednak z jej ust nie padło ani jedno słowo usprawiedliwienia.

– Tak, tak było, ojcze. Co z Ralfem?

– O, jak miło, że pytasz. Bo wydawało mi się, że wczoraj wieczorem właśnie tobie powierzyłem opiekę nad nim, czyż nie tak?

– Kiedy wychodziłam od niego, czuł się nieźle – powiedziała szybko, ale jej lęk o Ralfa stawał się coraz większy. – Zasnął, tak jak zalecił aptekarz. Spodziewałam się, że wychodzę na krótko i zaraz do niego wrócę.

– Kordelio! – rozległ się zachrypnięty głos Ralfa spoza pleców otaczających go aktorów. – Czuję się lepiej. Słyszysz?

– Och, Ralfie! – Kordelia przesunęła się obok Gwen i przyklękała przy łóżku chorego. – Jakże się cieszę, że czujesz się lepiej!

Uśmiechnął się, niezdolny powiedzieć coś jeszcze. Co by jednak nie powiedział, widać było jak na dłoni, że Ralf Carter jest jeszcze bardzo słaby. Twarz, lśniaca od potu, była rozpalona gorączką. Ułożono go wysoko na poduszkach, ale i tak wątpiła, czy Ralf jest w stanie dłużej wytrzymać w tej pozycji.

– Twoje szczęście, Kordelio, że jest jak jest – powiedział Alfred, poklepując Ralfa po ramieniu.

– I dla niego również. Popije sobie jeszcze tej cudownej mikstury na przeczyszczenie i wieczorem będzie zdrów jak rydz.

– Ależ, ojcze! – krzyknęła Kordelia. – Spójrz na niego! Czy ty sądzisz, że on będzie mógł grać dziś wieczorem?

Alfred rzucił jej spojrzenie pełne złości i jak to Alfred, turkoczając swoim czarnym płaszczem, demonstracyjnie skrzyżował ramiona.

– Wędrowną trupą Alfreda Lyona nigdy nie odwołuje swoich przedstawień z powodu słabości kóregoś z aktorów!

– I wcale nie musimy odwoływać – oświadczyła Kordelia, wstając z kolan i próbując nie myśleć o tym, jak zmięta jest jej suknia po nocnej eskapadzie. – Znalazłam kogoś, kto gotów jest dziś wieczorem zagrać rolę Weldona.

– Czy ja się przesłyszałem? A gdzie ty go znalazłaś? W żywoptocie?

– We dworze – oświadczyła chłodno i skrzyżowała ramiona, bezwiednie przyjmując tak samo dumną pozę jak ojciec. – Jego lordowska mość zaofiarował się wziąć na siebie tę rolę.

Alfred zaśmiał się szyderczo, reszta poszła za jego przykładem.

– Hrabia aktorem? Chce grać w naszej sztuce? A to paradne! Zadurzyłaś się w nim, to oczywiste, ale kto by się spodziewał, że całkiem stracisz rozum!

– Ja po prostu widzę w nim dżentelmena życzliwego ludziom i wspaniałomyślnego, który nie chce dopuścić do rozczarowania siostry!

– powiedziała, starając się za wszelką cenę powstrzymać swój temperament. – Jego lordowska mość ma wyborną pamięć. Oglądając nasze próby, doskonale przyswoił sobie rolę Weldona, zna ją lepiej niż Ralf. Jeśli hrabia nie zastąpi Ralfa, staje mi przed oczami smutna wizja, ojczy... Widzę, jak my wszyscy, jak tu jesteśmy, stoimy przed obliczem sędziego, oskarżeni o zerwanie umowy, na mocy której zobowiązaliśmy się wystawić przedstawienie z okazji ślubu lady Emmy!

– Ale hrabia jest amatorem najczystszej wody!

– zagrmiał Alfred, dając wyraz największemu oburzeniu. – On obniży poziom artystyczny naszego przedstawienia!

– W taki razie rozważ to, ojczy! – oświadczyła Kordelia głosem, któremu nadludzkim wysiłkiem pozwoliła zadrzeć tylko odrobinę. – Bo jeśli nie zaakceptujesz jego lordowskiej mości jako aktora, który odegra główną rolę w dzisiejszym przedstawieniu, to nie będziesz miał również aktorki do roli głównej bohaterki!

Ona dokonała już wyboru. I teraz, proszę bardzo, niech Alfred i inni się zastanowią. Kordelia dumnie uniosła głowę, jak królowa, której rolę nieraz już grywała, i odwróciwszy się na pięcie, wyszła.

Niewielki pokój, przylegający do sali balowej, w którym zwykle podczas balu damy mogły odświeżyć się i wypocząć, zmieniony został w prowizoryczną garderobę. W tej to garderobie Ross, wpatrzony w kartki, pokryte starannym pismem Kordelii, przygotowywał się do występu. Po raz kolejny czytał swoją rolę, powtarzając szeptem kolejne linijki. Niestety, trema dawała już znać o sobie. Jego ręce były tak wilgotne, że rozmazywał litery na białej kartce, serce biło tak szybko, że z trudnością skupiał swój wzrok na tekście. A on przecież już nieraz miał wykłady dla członków Królewskiego Towarzystwa Naukowego, rozmawiał o wynikach swoich badań z Jego Królewską Mością, nieraz przyszło

mu przemawiać do całej załogi „Perseverance”, zebranej na pokładzie. I nigdy tak nie dygotał, o nie, to było wprost nieporównywalne.

Chciał otrzeć wilgotne czoło chusteczką, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Przecież nie wolno ze względu na charakteryzację... Gwen najpierw pomalowała mu twarz na białe, jak jakiemuś duchowi, po czym na każdym policzku namalowała czerwone plamy, jeszcze więcej czerwonej szminki nałożyła na usta, a na koniec obwiodła oczy grubą czarną krechą. Te wszystkie mazidła piekły, swędziały i to sprawiało, że w skórze aktora czuł się jeszcze bardziej niezręcznie, zastanawiając się jednocześnie, jak kobiety mogą z własnej woli stosować takie właśnie środki dla poprawienia swojej urody.

– Och, Ross! – Kordelia obeszła go dookoła, poklepując frak, wywatowany na piersiach i w kolorze zdecydowanie zbyt jaskrawym, poklepała też kamizelkę. – Będiesz znakomicie prezentował się na scenie!

– A ja mam wrażenie, że wyglądam jak klaun z cyrku – bąknął, spoglądając na nią bezradnie.

Nic dziwnego, że wybuchnęła śmiechem. Białe zęby wydawały się zbyt białe na tle jej jaskrawoczerwonych ust. Jej śliczna twarz uszminkowana została tak samo jak Rossa.... Mało tego! Na głowie miała perukę ze złotych loków, a ta peruka była wysokości wręcz niebotycznej. W jej uszach wisały ogromne kolczyki ze świecących szkiełek.

– Wszystkie damy na widowni będą wzdychać z miłości do ciebie, Ross. – Kordelia spojrzała na zwinięte w rulon kartki w dłoni Rossa. – Jesteś pewien, że dobrze znasz swoją rolę? Może chcesz jeszcze raz przećwiczyć ją ze mną?

Ross pokręcił przecząco głową, z jakąś ponurą rezygnacją.

– Nie ma sensu. Jeśli czegoś nie umiem, nie nadrobię tego w ciągu ostatniego kwadransa.

– Wszystko będzie dobrze, jestem pewna. – Kordelia na potwierdzenie swoich słów bardzo energicznie wstrząsnęła sztywnymi, sztucznymi lokami. – Wejź na scenę pewnym krokiem, ale nie za szybko i mów naturalnie, jak robisz to na co dzień, może tylko trochę głośniej... Jeśli czegoś zapomnisz, po prostu spójrz na mnie, a ja już jakoś wybrnę z sytuacji.

– Ty, naturalnie, zachowasz kamienny spokój. Bo ty występujesz na scenie przez całe życie.

– Tak. Ale czymże to jest w porównaniu z tym, czym ty się zajmujesz? – Kordelia wygładziła srebrzysty galon przy jego kołnierzu. – Twoja praca ratuje ludzi przed utonięciem i innymi strasznymi rzeczami, ja tylko ludzi zabawiam...

– Uwielbiam, jak ty mnie zabawiasz... – Ross ucałował dłoń Kordelii. – Nie wyobrażam sobie lepszej pracy niż twoja.

– Och, biedny Ross! – Kordelia spojrzała na niego bardzo czule. – Wiem, że przeżywasz teraz bardzo trudne chwile. Chciałabym, żebyś czuł, jak ogromnie jestem ci wdzięczna za to, co zdecydowałeś się uczynić dla siostry.

– Dla ciebie, Kordelio – powiedział zachrypłym głosem. – Dla Emmy także, ale przede wszystkim dla ciebie, i jeśli ty...

– Cicho, Ross. Zaraz zaczyna się sztuka – wyszeptała, zakrywając mu dłonią usta. – Słyszę, że ojciec mówi już prolog. Szybko, musimy przygotować się do wyjścia na scenę.

Chwyliła go za rękę, żeby wyprowadzić go do sali balowej, skąd dobiegał głęboki, mocny głos Alfreda Lyona, wspaniały głos, który teraz zapewne słyszeć było w sąsiednim hrabstwie.

Nie było normalnej sceny czy kurtyny, ustawiono po prostu rząd lamp, oświetlających aktorów.

Z boku usadzono skrzypka. A w pierwszym rzędzie krzeseł Ross dojrzał Weldona i rozpromienioną Emmę, nie posiadającą się ze szczęścia, że jej weselna sztuka wreszcie się rozpoczęła.

Niestety, szczęście siostry nie będzie trwać długo, pomyślał Ross z ponurą rezygnacją. Kiedy na scenie ujrzy brata... przeżyje szok!

– Jeszcze tylko cztery wersy, ojciec kończy swoją kwestię i wchodzimy my – szepnęła Kordelia. Wspięła się na palce i musnęła ustami jego wargi, leciusięko, żeby nie zepsuć charakteryzacji. – Weź teraz głęboki oddech, przypomnij sobie swoje pierwsze słowa... i powodzenia, kochany!

Kochany... Nigdy przedtem go tak nie nazwała, oni zresztą w ogóle nie rozmawiali o miłości. Czy to znaczy, że Kordelia go pokochała? I czy on pokochał Kordelię?

– Idź już, Ross! Teraz!

Pociągnęła go za sobą na przód sceny i ustawiła przed Alfredem, w zakolu płonących świec. Usłyszał gromkie brawa, a on nieprzytomnym wzrokiem spoglądał ponad rzędem świateł na upiorne teraz dla niego twarze weselnych gości. Jeden rząd za drugim. Nie zdawał sobie sprawy, że na wesele zjechało aż tyle osób. Twarzy w ogóle nie rozróżniał, widział tylko oczy. I do diabła! Wszystkie oczy wpatrzone są w niego!

Oklaski ucichły, on milczał, sparaliżowany strachem, jak sarna na widok myśliwego. Pewnego dnia powinien napisać rozprawę naukową o naturze tremy... Jaki wpływ ma na kondycję człowieka, zwłaszcza na jego system nerwowy...

– Strzelaj, Ross! – zakrzyknął zachwyconym głosem kuzyn James, ulokowany gdzieś wśród tego morza głów. – Nie będziemy czekać tu do rana!

Przez widownię przebiegł szmer, coś jak nerwowy śmiech. Nagle poczuł ciepło na dłoni. To Kordelia. Wzięła go za rękę, ścisnęła lekko, zmuszając, żeby oderwał wzrok od widowni i spojrzął na nią.

– Gdy dnia tamtego zerwałeś się rankiem, wraz ze słońcem – zaczęła, posługując się słowami z jego kwestii – czyś wiedział, że jeszcze przed zachodem znajdziesz miłość swoją?

I Ross nagle, sam nie wiedząc, jak, zaczął mówić:

– Słodką damę, którą znałem od kołyski. Dzień po dniu ją widziałem, lecz dopiero dnia tamtego serce mi podpowiedziało... szczęścia nie szukaj daleko!

Nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego niż uśmiech na twarzy

Kordelii, taki jak teraz, pełen niewypowiedzianej ulgi.

I teraz słowa same cisnęły mu się na usta, mówił gładko i wtedy, kiedy trzeba. Drobne gesty Kordelii odczytywał bezbłędnie, gdy dawała dyskretnie znak, że ma wziąć ją za rękę albo przykleknąć lub też obrócić się razem z nią, jak w tańcu. Choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że w porównaniu z innymi aktorami, a zwłaszcza ze zwiewną i lekką jak elf Kordelią, on sam sztywny jest jak kołek i niezręczny.

Pierwszy akt się skończył i Kordelią pociągnęła go za sobą. Musiał przecież przebrać się, nałożyć płaszcz do następnej sceny.

– Kordelio, chwileczkę – odezwał się, gdy tylko weszli do małej garderoby. – Tuż przed rozpoczęciem sztuki powiedziałaś coś do mnie, coś szczególnego. I dlatego muszę się ciebie zapytać...

– Nie teraz, Ross. Nie ma czasu – rzuciła przez ramię, zajęta przypinaniem do włosów wieńca z gałązek ostrokrzewu, mającego symbolizować święta Bożego Narodzenia. – Możesz pytać mnie o wszystko, ale po przedstawieniu. Nakładaj szybko swój płaszcz, obsypany sztucznym śniegiem. Pospiesz się, Ross!

Znalazł płaszcz i podczas drugiego aktu rolę swą mówił równie bezbłędnie jak w akcie pierwszym. Po drugim akcie miał nastąpić akt trzeci, akt ostatni. Do tego aktu Kordelią zrezygnowała z wymyślnego kostiumu i przebrała się w tę samą prostą muślinową suknię, którą miała na sobie tego pierwszego wieczoru, kiedy wspólnie wytwarzali fale.

Akt trzeci się kończył, pozostała już tylko scena ślubu i błogosławieństwa. Po Kordelii nie znać było żadnego znużenia, przeciwnie, zdawała się z każdą kolejną chwilą coraz bardziej rozkwitać na scenie. Każdy jej gest, każdy krok był wdzięczny, pełen gracji, jej oczy błyszczały za każdym razem, gdy napotkała wzrok Rossa.

Usłyszał, jak za sceną aktorzy, którzy skończyli już swoje kwestie, poszeptują między sobą o tym, że wyjeżdżają z samego rana, że czeka ich nowy angaż. A on wprost nie mógł uwierzyć, że jutro z rana odjedzie i Kordelia. Nie mógł sobie wyobrazić, jakie będzie jego życie potem, bez niej...

Kordelia przemknęła przez scenę i zatrzymała się przed nim, połyskliwy szal z cieniutkiej gazy, ten sam, który miała w sadzie, wysunął jej się z rąk.

I zdawało mu się, że gra teraz tylko dla niego, jakby ta cała liczna widownia nie liczyła się nic a nic, a nawet nie istniała.

– Moje serce nie zna innego uczucia prócz radości, gdy widzi ciebie – powiedziała słodko, wykonując przed nim piruet. – Odejść od ciebie? Dla mnie to oznacza tylko ból i łzy!

– Nie będzie łez.

Wcale nie powiedział swojej kwestii. To były jego własne słowa.

– Zostań ze mną. Niech ta ostatnia noc trwa wiecznie.

W oczach Kordelii błysnęło wielkie zdziwienie, instynktownie jednak zaczęła improwizować:

– Noc krótka jak oka mgnienie, nie wystarczy, by wiedzieć, co dobre, a co złe...

– Wystarczy – powiedział, ujmując jej dłoń. – I wiesz to, inaczej nie powiedziałabyś do mnie tak słodko. Kochany... Oczy Kordelii rozszerzyły się w największym przerażeniu.

– Nasze słowa czasami są nierozważne, zrodzone z pośpiechu albo namiętności...

– Ale teraz w sercach naszych radość zagości – wygłosił Ross, uśmiechając się do niej szeroko.

– Kocham cię, Kordelio. I z tym zdaniem rymować się będzie tylko jedno. Jeśli powiesz, że ty mnie też kochasz.

Kordelia westchnęła, dwa strumienie łez spłynęły po czarnych kreskach okalających jej oczy.

– Kocham cię, Ross, och, jak bardzo cię kocham! Ale ta miłość nie ma przyszłości, wiesz przecież...

– Ma przyszłość, naszą wspólną, Kordelio – powiedział, przyciągając ją do siebie. – Wyjdź za mnie, Kordelio. Zostań moją żoną, a nasze szczęście będzie trwać wiecznie.

– Jesteś pewien? Jesteś hrabią, Ross, a ja...

– Kobieta, którą kocham – powiedział, aby nie pozostawić ani cienia wątpliwości. – Nigdy w życiu nie byłem czegoś tak pewien, jak tego, że cię kocham, Kordelio.

Znów łzy popłynęły po jej uszmiokowanych policzkach. Ale nie łzy żalu, tylko radości.

– A więc... Tak, Ross. Kocham cię i pragnę zostać twoją żoną. Tak, tak, tak!

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, a kiedy on ją całował, usłyszał nagle gromkie brawa. Spojrzał ponad ramieniem Kordelii, za rząd jasno płonących lamp. Zobaczył publiczność szalejącą z zachwytem. Nie mogło być większego aplauzu. Rodzina, przyjaciele i wszyscy pozostali goście weselni powstali z krzesel, wznosząc radosne okrzyki, śmiejąc się, gwizdząc, wołając głośno jego imię i imię Kordelii.

– Och, Ross... – Uśmiechała się do niego przez łzy. – Teraz trzeba się ukłonić.

– Za chwilę.

Uśmiechnął się do niej i pocałował jeszcze raz, sam zadziwiony, jak nieprawdopodobnie ważna i droga – najdroższa – jest dla niego Kordelia.

– No cóż, ukłonimy się, nawet jeśli Emma zamierza zażądać mojej głowy za to, że skradłem jej oklaski. Skradłem jej weselną sztukę.

Kordelia uśmiechnęła się.

– Jeśli tak się stanie, przypomnij jej, że tytuł tej sztuki brzmiał „Triumf miłości”.

– A więc triumfujmy, Kordelio, moja miłości! – powiedział, śmiejąc się. –

Triumfujmy i nigdy nie przestawajmy!

Wzięli ślub miesiąc później, wieczorem w środku lata, w dniu, który Alfred Lyon uznał za wyjątkowo pomyślny dla przyszłych małżonków. Tym razem uroczystość zaślubin nie odbyła się w dworskiej kaplicy, lecz w ogrodzie, pod rozgwieżdżonym niebem i w poświacie księżyca w nowiu.

Suknia panny młodej inspirowana była miłością jej oblubieńca do astronomii – z ciemnogrnatowej gazy naszytej kryształkami, które lśniły jak tysiące gwiazd. Wszyscy jednak goście byli zgodni, że teraz największą miłością hrabiego jest panna Lyon. Większą niż jego miłość do astronomii.

Pierścionek, jaki wręczył Kordelii w dniu ślubu, tylko utwierdzał wszystkich w tym przekonaniu. Pierścionek był przepiękny i niezwykle drogi. Złota obrączka wysadzana brylantami w kształcie serc i gwiazd.

Alfred Lyon zaoferował odegranie nowej sztuki weselnej, tak jak to było podczas zaślubin lady Emmy i sir Weldona Dodda. Jednak Ross i Kordelia odmówili uprzejmie, lecz stanowczo, i nie dlatego, że Alfred roztoczył przed nimi wizję widowiska monumentalnego, pełnego roztańczonych wróżek i elfów. Ale czy jakakolwiek sztuka, nawet wystawiona przez Alfreda Lyona, może mieć wspanialsze zakończenie niż to, które zaimprovizowali Ross i Kordelia?

A później, znacznie później, kiedy już odbył się ślub i zakończono weselną ucztę i tańce, kiedy ostatni z gości odjechali lub udali się na spoczynek w pokojach gościnnego Howland Hall, Kordelia – teraz już lady Kordelia – wychyliła się przez okno ich małżeńskiej sypialni i spojrzała w górę, na gwiazdy.

– Podobno kiedy dojrzy się pierwszą gwiazdę na niebie, można pomyśleć sobie jakieś życzenie – powiedziała do męża. – Teraz świecą już wszystkie. Czy mimo to mogę sobie coś pomyśleć?

– Naturalnie – powiedział, podchodząc do niej i wsuwając ręce pod lekki szal, którym przykryła sobie ramiona. – Ale to są tylko zabobony i nic więcej.

– Zabobony czy nie, nikomu krzywdy nie czynią. A ja jedną gwiazdę chcę poprosić, żeby spełniła moje życzenie. Tę gwiazdę z lewej strony, najjaśniejszą ze wszystkich.

Wskazała palcem na gwiazdę, zamknęła oczy i wyszeptwała swoje życzenie:

– Gwiazdko! Zbierz dla nas całe szczęście z tego świata!

– O ile się orientuję, nie jest to gwiazda, lecz planeta – mruknął Ross. Jego dłonie ześlizgnęły się po nagich ramionach Kordelii, po czym ucałował nagi karczek żony. – Ale ponieważ ta planeta nazywa się Wenus, podejrzewam, że spełni twoje życzenie.

Kordelia zaśmiała się cicho i oparła głowę na ramieniu męża.

– Ale czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie uszczęśliwiłeś?

– Zauważyłem to – powiedział miękko. – Prawie tak bardzo jak ty mnie,

moja ty prześliczna żono, aktorko wędrowna. I powiedz, czy istnieli już kiedyś kochankowie, których drogi się zeszyły dzięki gwiazdom?

– Zeszyły i połączyły na zawsze, milordzie. Milord zmarszczył czoło, zapewne szukając rymu. Znalazł, odchrząknął i zadeklamował z emfazą w głosie:

– Dzięki gwiazdom twoja droga z moją drogą się łączy i nikt na ziemi ani w niebie już nas nie rozłączy.

– Okropne rymy! – Kordelia wybuchnęła śmiechem, Ross zawtórował. Odwróciła się do niego i wspięła na palce, żeby pocałować. – Koniec występu, milordzie. Teraz należy się ukłonić i... wracać do łóżka.

– Tak, kochanie – powiedział skwapliwie. – Wracamy do łóżka.